ROK IX. CZERWIEC—1909 ROK. TOM VI (XCI).





DZWONEK Częstochowski

PISMO MIESIĘCZNE

ILLUSTROWANE

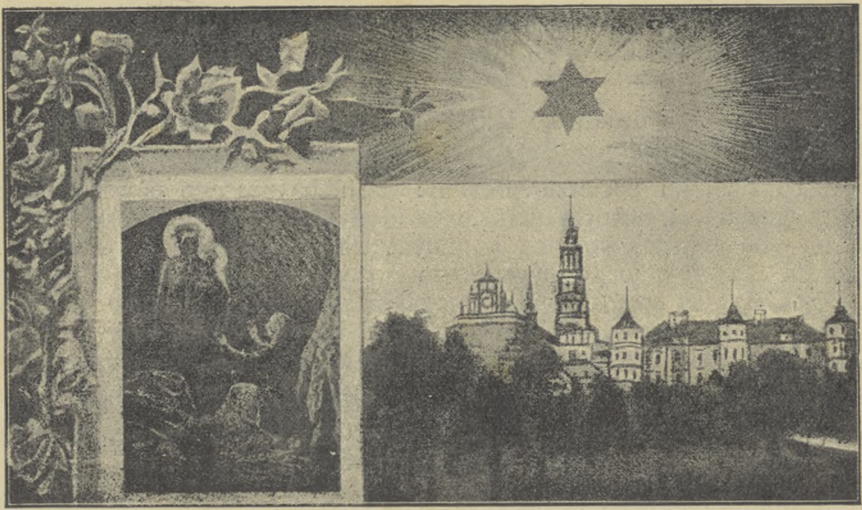
POD REDAKCJĄ

KSIĘDZA JÓZEFA ADAMCZYKA

Adres Redakcyi: Częstochowa, pod Jasną-Górą. — Filia w Warszawie: Marszałkowska Nr. 101.

1909.

Rok 1909.



„Dzwonek Częstochowski"

PISMO MIESIĘCZNE ILLUSTROWANE

Pod redakcyą księdza JÓZEFA ADAMCZYKA.

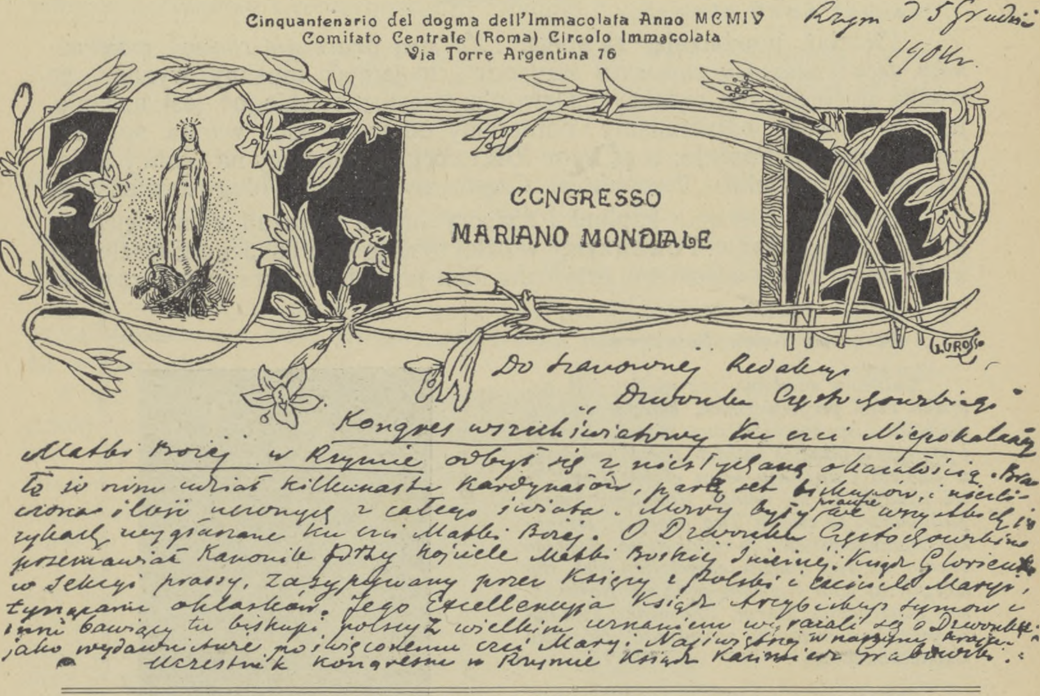
Ośm lat upływa od chwili, gdy po raz pierwszy stanęliśmy przed Wami, **Czcigodni i Szanowni Czytelnicy i Przyjaciele** „Dzwonka Częstochowskiego". Zaofiarowaliśmy Wam pracę i trudy, — rozpaliliśmy pochodnię, by rzucić ciepły, dobroczynny promień światła, — by walczyć z ciemnotą. O ile nam sił starczyło, staraliśmy się wytrwać na posterunku. „Dzwonek Częstochowski" poszedł po miastach i siołach, a wszędzie niósł słowa prawdy, nauki i zachęty do miłości Boga i bliźniego. Pomimo burz, jakie nad krajem naszym nieszczęsnym szalały, patrzeliśmy z gorącą wiarą w lepszą przyszłość, ufni w pomoc Maryi, której Imię Przenajświętsze wypisaliśmy na swoim sztandarze. I pod tem godłem wytrwaliśmy. Mając przed oczyma jasną swą Gwiazdę przewodnią, pracowaliśmy na chwałę Imienia Maryi i dla dobra naszych współbraci. Staraliśmy się „Dzwonek Częstochowski" rozwijać i udoskonalać. W pracy tej pragniemy wytrwać i nadal.

W roku 1909, jak i za lat poprzednich zachęcać będziemy do szlachetnych czynów, do solidarności bratniej, przedstawiając piękne przykłady poświęcenia dla Wiary i Ojczyzny i wzory godne naśladowania. Imieniem Maryi zagrzewać będziemy do walki z największym wrogiem ludzkości, **z ciemnotą i niewiarą.**

Wszystkim prenumeratorom „Dzwonka Częstochowskiego" ofiarujemy **wspaniałe premium,** które będzie ozdobą prawdziwą każdego katolickiego domu; będzie to kopia pięknie kolorami wykonana
„Cudownego Obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej".

Mamy nadzieję, że „Dzwonek Częstochowski" będzie nadal, jak i za lat poprzednich, mile przyjęty i pożądany w każdym domu polskim, gdzie drogą jest pamięć tradycyj narodowych i tego miejsca świętego, jakiem jest Jasna-Góra, będzie pożądany w każdej rodzinie, gdzie **biją serca** polskie i umiłowaną jest **cnota i prawdziwa oświata.**

Na kongresie katolickim we Fryburgu nagrodzono redakcyę „Dzwonka Częstochowskiego" medalem złotym, a na kongresie Maryańskim wszechświatowym w Rzymie biskupi i kapłani wyrażali publiczne pochwały dla naszej pracy.



Cinquantenario del dogma dell'Immacolata Anno MCMIV
Comitato Centrale (Roma) Circolo Immacolata
Via Torre Argentina 76

Rzym d. 5 Grudnia 1904 r.

CONGRESSO MARIANO MONDIALE

Do Szanownej Redakcyi
„Dzwonka Częstochowskiego"

Kongres wszechświatowy ku czci Niepokalanej Matki Bożej w Rzymie odbył się z niezwykłą okazałością. Brało w nim udział kilkunastu Kardynałów, parę set biskupów, i niezliczona ilość wiernych z całego świata. Mowy były prawie wszystkie zachwycające wygłaszane ku czci Matki Bożej. O Dzwonku Częstochowskim przemawiał Kanonik przy kościele Matki Boskiej Śnieżnej: Ksiądz Glorieux w sekcyi prassy, zasypywany przez Księży z Polski i czcicieli Maryi, tysiącami oklasków. Jego Excellencya Ksiądz Arcybiskup Symon i inni bawiący tu biskupi polscy z wielkiem uznaniem wyrażali się o Dzwonku jako wydawnictwie poświęconem czci Maryi. Najwierniejszy w naszym kraju:
Uczestnik Kongresu w Rzymie Ksiądz Kazimierz Grabowski.

Opłata za „Dzwonek Częstochowski" wynosi: rocznie z przesyłką pocztową rub. 4, półrocznie rub. 2, kwartalnie rub. 1. W Austryi: rocznie koron 10, półrocznie koron 5.—W Niemczech: rocznie marek 9, półrocznie marek 5. W Ameryce 2 dolary 50 cent. rocznie (5 rubli). Cena ogłoszeń: Na całej stronicy rub. 12, na połowie stronicy rub. 8, na czwartej części stronicy rub. 5 i za wiersz 75 kop. Prenumeratorzy miejscowi za odnoszenie pisma do domu dopłacają 10 kop. kwartalnie.

Listy i przesyłki pieniężne należy adresować w ten sposób:
Do redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego" pod Jasną-Górą w Częstochowie.

Redaktor i Wydawca: Ksiądz Józef Adamczyk.

Druk Akc. Tow. S. Orgelbranda Synów.—Warszawa, Krak.-Przedm. № 66.

ROK IX. CZERWIEC—1909 ROK. TOM VI (XCI).

DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI

PISMO MIESIĘCZNE, ILLUSTROWANE

POD REDAKCYĄ

Księdza JÓZEFA ADAMCZYKA.

CZĘSTOCHOWA

Adres Redakcyi: Częstochowa, pod Jasną-Górą.

Filja w Warszawie: Ulica Marszałkowska № 101.

1909.

ILLUSTRACYE:



Adam Staszczyk. [1])

Opieka Przenajświętszej.

Opowiadanie z czasów wojen z kozaczyzną.

I.

Potęgo ludzka, co bezprawia władzą
Miecze zagłady wytężasz do ciosów,
Choć się twe siły w jeden prąd gromadzą,
Nie sięgniesz nigdy do wyżyn niebiosów,
Twa wielkość pyłem, kruszyną atomu
Wobec Wszechstwórcy potęgi ogromu!

[1]) Pomieszczamy ten piękny utwór przedwcześnie zmarłego dla piśmiennictwa polskiego autora, aby podnieść ducha i obudzić wiarę i nadzieję. Ś. p. Staszczyk, obywatel Krakowa, majster ślusarskiego zawodu, w chwilach wolnych od pracy przy warsztacie kreślił piękne obrazy z życia ludu i przeszłości naszej zaczerpnięte. Zmarł niedawno w umiłowanym przez się Krakowie.

I biada temu, co podniósłszy głowę
Z obelgą spojrzy na Niebios Królowę,
Która swym blaskiem poskramiała hordy
Gdy najeżdżały naszą ziemię własną:
By szerzyć zbrodnie, pożogi i mordy,
Jak Szwed, co pragnął zdobyć Górę Jasną,
Lecz takiej doznał porażki i żalu,
Jak wódz Kozaków, Chmielnicki, w Sokalu!

II.

Miejscowość piękna, tam gdzie klasztor cichy,
Między rzekami i Bugu i Rady,
Osiadły z dawna Franciszkańskie mnichy
Na leśnym wzgórzu, ozdobionem w kwiaty,
Lecz najpiękniejszym urokiem klasztoru
Jest przecudowna Matka Chrystusowa,
Z Częstochowskiego utworzona wzoru;
I takież pręgi ma Boska Królowa
Na swem obliczu i anielską ręką
Wymalowana z Dzieciną maleńką
Na cyprysowem drzewie...
...Choć zczerniała,
A cudnie piękna i dziwnie wspaniała!

III.

Obraz ten powstał za Jagiełły czasów,
Gdy chrzczono Litwę na wiarę Chrystusa,
A wyrzucano z puszcz odwiecznych lasów
Bożków pogańskich Perkuna, Poklusa,
I zalewano bałwochwalcze znicze:
Wtedy Najświętszej przecudne oblicze
Z pod gruzów cerkwi, spalonej przez Chanów,
Dobył z popiołów i wniósł do kaplicy
Drewnianej wówczas, konwent Franciszkanów,
Gdzie dziś cudami słynie w okolicy,

Królowa Niebios, Polski, Rusi, Litwy,
A wzamian pragnie: skruchy i modlitwy.

IV.

Trzy wieki przeszły nad świątynią Bożą,
A pokolenia, za cuda w podziękę,
Kościół i klasztor, jak warownię tworzą
I przystrajają cudowną Panienkę.
Wzniesiono wieżę, co pod lazur sięga
I drogowskazem promienieje światu —
W tej Matce Boskiej obrony potęga —
I wszyscy spieszą do Jej Majestatu
W klęskach o pomoc...
...Burzliwe napady
Krwią naznaczały najeźdźców gromady,
Wśród których znikło serce i sumienie,
Światłem ich łuny pożarów i lonty;
O jedno więcej miał dodać zniszczenie
Rok tysiąc sześćset pięćdziesiąty piąty,
W którym to Bohdan z chucią najezdniczą,
Gdy go bezkarność mordów rozzuchwala,
Wraz postanowił z Zaporoską siczą
Zrabować miasto i klasztor Sokala.

V.

Noc ciemną krwawa oświetlała zorza,
Nim uzbrojono załogą warownie,
Już chciwy łupu hetman Zaporoża
Otoczył klasztór, — pociski, jak głownie
Padają z armat i sypią kartacze...
Zakon się broni, choć w szczupłym orszaku;
Lecz opór drażni natury kozacze,
Więc zbrojne szyki walą do ataku...
Komenda wodza mknie w bojowym szumie...
Podeszli z ogniem pod klasztorne mury,

Ale odparci, w rozproszonym tłumie,
W zaciętym szale godzą po raz wtóry
Z klątwą i wrzawą!... Błyszczą jatagany...
Wtem ich przeraził dziwny znak świetlany.
Powstrzymał Bohdan na czele rumaka
I z rąk buławę opuścił hetmańską,
Na przybocznego zawołał kozaka,
Wskazując klasztor: „Widzisz tę niebiańską
Postać wśród księży, a przy Niej Pacholę?
Ile tam wojska, snać tysiące, krocie...
Gronem aniołów ujęta w półkole,
Rycerstwo zbrojne połyskuje w złocie...
A tak go wiele, że oko nie zliczy“.
I hymn anielski słychać pod obłokiem,
Tłumiący wrzawę rozszalałej dziczy,
Co zachwycona śpiewem i widokiem
Świętej Dziewicy w gwiazd aureoli,
Chroniącej Bożą zakonu strażnicę,
Uległa dotąd nieznanej jej woli,
Rzuciła szable, działa i rusznice
I w wiernym hołdzie swe odkryła głowy...

. . . .

Chmielnicki pobladł i zeskoczył z siodła
I do odwrotu zmienił szyk bojowy,
Tam do tych murów dziwna moc go wiodła.
A tłumiąc uczuć rozigrane nurty,
Szedł w zadumaniu, w myślach zatopiony
I przestępował próg klasztornej furty
Nie jak zwycięzca, lecz jak zwyciężony.

VI.

— „Witam was, mnichu, ojcze gwardyanie.
Mnie tu do waści nie bojaźń sprowadza.
Cokolwiek ze mną lub z wami się stanie,
Chciej mi pokazać, gdzie tych potęg władza?

W cuda nie wierzę, jam nie zabobonny,
Chcesz-li, bym wierzył w widma i łask zdroje,
Pokaż mi pierwej ów poczet zakonny,
Owych rycerzy i ich lśniące zbroje,
I ową postać jasną po nad gmachem,
Byliżto żywi, czy też sztuczne cienie?
Czy to, com widział, nie było złudzenie?

— — — — — — — — — —

Gwardyan wywiódł gościa na dziedziniec
I wskazał małą załogę klasztorną,
Co się tak wielkiej opierała sile...
Na twarz Bohdana wystąpił rumieniec
Gniewu i wyrzekł: „Z garstką niepozorną
Śmiałeś wystąpić?! Więc was tylko tyle?!
Więcej przez tydzień wychylę kielichów,
Niż tu masz wojska, pachołków i mnichów.
Po co w ułudne przystrajać się skrzydła,
Które w oddali jaśniały wielkością?
Rycerze w złocie, to były straszydła,
Teraz ja widzę, żem walczył z nicością.
Jakiej obecnie użyjecie tarczy,
Gdy was pochłonę pomimo oporu?
Na to mi jedna godzina wystarczy,
Lecz bez okupu nie wyjdę z klasztoru...
Te wasze cuda tumanią lud prosty,
Jak i ten obraz z tą rozgłośną sławą:
Choć doń wznosicie i modły i posty,
Czy was przed moją ocali buławą?
Ja nie ustąpię!...

...Skarbiec i klejnoty
Oddajcie wszystko, co bogactwem zwie się.
Prowadź do skarbca, nim zawezwę roty,
Która wasz zakon na spisach rozniesie?“...

— — — — — — — — — —

Ojciec gwardyan na wyrazy pychy

Nie odpowiada, ni uwag nie czyni,
Ufny w Królową — pokorny a cichy,
Wszedł z atamanem do wnętrza świątyni,
Gdzie przy ołtarzu klęczeli Ojcowie.
Gdy na nich skinął, podnieśli zasłonę,
Za którą obraz Przenajświętszej Panny
Na cały kościół rzucał blask zaranny.
,,Spójrz, Atamanie!—ksiądz Gwardyan odpowie.
Oto nasz Skarbiec, a pod Jej obronę
Kto się uciecze, ten zawsze zwycięża...
Z chóru dobiegał hymn „Boga Rodzicy"

. . . .

Chmielnicki w obraz dziki wzrok wytęża,
Jak ostrzem utkwił w cudownej źrenicy,
Chciał się nań rzucić, lecz nim krok posunął,
Zachwiał się, zdrętwiał, jak odłam kolumny
I na pół martwy na posadzkę runął
Z głuchym łoskotem w grób wrzuconej trumny.

VII.

Tak leżał długo...
...Skończono pacierze,
Na Anioł Pański już na wieży dzwonią,
Bohdan się zerwał, jak zranione zwierzę,
Ryknął z rozpaczy, swe oczy trze dłonią,
I nic nie widzi, ni świateł gromnicy,
Co ich tak wiele płonęło w świątnicy.
Wokoło ciemnia, jak opona z kiru,
Zamiast modlitwy, z ust się toczy piana;
On zmienił wiarę w swych czasach jassyru,
W tatarskich bojach zszedł na bisurmana,
A więc Allacha wzywał...
...Nadaremno
Rzuca się, jęczy i kindżałem miota,
Jednak mu w duszy i na oczach ciemno,

Już go zupełna dotknęła ślepota,
I myśli straszne snują się po głowie...
Więc już nie ujrzy dworu w Subotowie,
Ni Zaporoża, ani Ukrainy,
Ani mojego Tymoszka, dzieciny,
Ani Kozactwa nieodstępnej siczy,
Co mu służyła w rabunkach zdobyczy!
Padł na kolana, skronie pełne żaru
Tarł o posadzkę zimną, kamienistą,
Tyle w nich uczuł bólu i ciężaru,
Że po raz pierwszy tę Pannę Przeczystą
Wezwał na pomoc ciemny potępieniec,
I przebiegł myślą poczet swoich zbrodni,
Które popełniał, jako wódz szaleniec;
Od jego zbirów spalone pochodni
Sioła, a w zgliszczach zwęglone szkielety
Godzą weń ręką do kości spaloną —
W oczach mu krwawe mijają sztylety,
A głowy ściętych przekleństwami zioną —
I straszna skarga rozdziera niebiosy,
Ofiar bezbronnych upiętrzone stosy,
Co się zeń walą, słyszy jęk wołanie:
„Za krew niewinną Bóg cię skarz, Bohdanie!“
Ile on w Polsce nawyrządzał szkody
Tam pod „Korsuniem“ wraz z hordą kozaczą,
Jak bił koronnych pod „Żółtemi Wody“
Tego mu wieki nigdy nie przebaczą!

. . . .

On—wróg Polaków, sprzymierzeniec chana,
Z nim się liczyły w różnych celach trony,
A dziś tak marny, oślepły, skruszony,
Wije się z bólu u stopni ołtarza...
O ile w wzgardzie miał wszechświata Panią,
Dziś przed obrazem Jej w prochu się tarza,
Potępia grzechy, co wspomnieniem ranią...

A na poprawę, kiedy śluby złożył,
Powstał i oczy pełne łez otworzył,
Ale, o, cudo! bystry wzrok Bohdana
Odzyskał władzę!... Ujrzał gwardyana,
Objął rękoma i do nóg się rzucił,
Całuje stopy i z radości płacze,
Wpatrzony w obraz, co mu wzrok przywrócił...
Serce mu błogą radością kołacze,
Jak odrodzony, mnichom ściskał dłonie...
„Żegnam cię, Ojcze! w waszym to zakonie
Za cały żywot tu doznałem kary,
Cud ten dni moje napełni weselem,
Przyjm pokutnika na łono swej wiary,
I módl się za mnie... Bądź mi przyjacielem“.

— — — — — — — — — —

Wyszedł za bramę, już jaśniał brzask dzienny,
Do swych taborów powrócił odmienny,

— — — — — — — — — —

Zanim odstąpił od murów Sokala,
Nim się najeźdźcy w pochód ustawili;
Do gwardyana przywiedli wąsala,
Był to setniczy: Prokopiej Wasyli,
Poseł hetmana, przyniósł jako wota
Dla Przenajświętszej srebrny puhar złota,
Z prośbą, by Ojciec przyjął i przebaczył,
I mszę dziękczynną zań odprawić raczył.

— — — — — — — — — —

VIII.

W dwa lata później, syt ponurej sławy
Umarł, za swoje pokutując winy,
I nikt już po nim nie podjął buławy,
Był to ostatni hetman Ukrainy.

Na wieczną pamięć i po wszystkie wieki
Wraz o dziewiątej, każdego wieczora,

Płyną nad siołem i w przestwór daleki,
Drgające dźwięki z wieżycy klasztora
I błogą nocy przerywając ciszę,
Rozrzewnia ducha nastrój uroczysty
Nadziemskim czarem i myśl rozkołysze
Lotną ku Bogu...



O, Przenajświętsza, módl się za nami!

...Gdy akord srebrzysty
Z uderzeń serca w krąg spiżowy dzwonu
Po dziewięć razy ku niebu się wzbija,
A między każdem wywołaniem tonu
Dzwonnik się żegna i „Ave Marya“
Odmawia w ciszy, a dźwiękiem rozwiana

Modlitwa płynie za pogrom Bohdana...
Jego też puhar i błagalne listy
Przechował klasztor, jako znak wieczysty.

IX.

Wszystko przemija i pasma stuleci
Jak wichry stepów nad światem przechodzą.
Niejedno państwo uległo zamieci,
A na ubiegłe wieki nowe godzą,
I prądy nowe wprowadzają zmiany,
Burzące wszystko niewstrzymaną falą.
Mkną wśród narodów zniszczeń huragany,
Walą się trony i mocarstwa walą —
Wieczność je kryje znikomą powłoką.
Czas wszystko strawił, co przewrót wymarzył,
Tylko Kościoła nie zachwiał opoką,
Ni Matki Boskiej dotknąć się nie ważył,
Dla której niema początku, ni końca...

— — — — — — — — — —

O, Ty, Dziewico, Królowo świetlana,
Jako lazury wśród promieni słońca
Czysta bez skazy i Niepokalana!
Ty nas ochraniaj, gdy nieszczęścia wioną:
Bądź nam patronką i Polski koroną!

ZŁOTE MYŚLI.

W ogrodzie życia jest jeden kwiat najpotrzebniejszy ze wszystkich — kwiat wiary. Tam, gdzie nie wzrasta ta boska roślina, wiele innych kwiatów więdnie przedwcześnie, nadewszystko kwiat prawdziwego szczęścia.



ŻYWOT ZBAWICIELA ŚWIATA
Pana naszego Jezusa Chrystusa.

Przez kilka tygodni zabawił Jezus na obcej, pogańskiej ziemi. Do Galilei wraca przez krainę Dekapolis (Dziesięciu miast), gdzie Imię Jego już jest znane i rozsławione po owem uzdrowieniu opętanego Gergezeńczyka. Tu po raz drugi uczyni cud, uzdrowi poganina głuchoniemego, bo i dla pogan nadchodzi godzina zmiłowania, o której prorokował Izajasz.

Dnia jednego, gdy Jezus szedł z Apostołami przez środek tej ziemi, zamieszkałej przez pogan, poznano Go, przypomniano sobie wielkiego Cudotwórcę izraelskiego. Czemprędzej przyprowadzono nieszczęśliwego głuchoniemego z wiarą, że ten tajemniczy mąż taki miłosierny i wszechmocny zmiłuje się nad tym kaleką. Proszą więc, „aby nań rękę włożył". Jezus przychyla się do prośby: „bierze głuchoniemego na stronę od rzeszy, wpuszcza palce Swe w uszy jego, splunąwszy, dotyka śliną języka jego, spogląda w niebo, wzdycha i mówi: „Effethah, otwórz się!" i uzdrowion jest głuchoniemy."

Co znaczą te ceremonie?

Przedewszystkiem chciał Jezus, by na głuchoniemym cud ten wywarł jak najgłębsze wrażenie, by ten uzdrowiony poznał sprawcę swego szczęścia, wierzył w Jezusa i wstrząśnięty do głębi tem

uzdrowieniem ciała, szukał wyższego uzdrowienia, duchowego. Samo słowo, bez znaków zmysłowych, byłoby dla głuchego bez znaczenia. Byłby uzdrowiony, aleby nie miał zmysłowego przeświadczenia skąd przyszło uzdrowienie: objawienie Mesyaszowe byłoby dlań niezupełne, wrażenie moralne połowiczne tylko. I dlatego Zbawiciel zwraca się do zmysłu widzenia.

Głuchoniemy nie słyszy ani jednego słowa, ale widząc, jak Cudotwórca palce Swe kładzie mu w uszy, śliną Swą maże mu język i potem zaraz odzyskuje słuch i mowę, to w tejże chwili wie, komu to zawdzięcza, oko jego powiada mu z wszelką pewnością, w jaki sposób przyszła nań owa moc cudowna. Z palców, ze śliny tego Jezusa wychodzi moc, która głuchemu przywraca słuch, niememu mowę: w tej powłoce ciała w niepozornych członkach Mesyasza tkwi moc cudowna, zwyciężająca naturę. A wzniesienie oczu do nieba i westchnienie oznacza to współczucie Chrystusa dla ogromu niemocy, nędzy wewnętrznej, moralnej całego świata pogańskiego, którego przedstawiciel w osobie owego głuchoniemego przychodzi do Jezusa. To bolesne westchnienie, to spojrzenie w niebo zapewnia w tej chwili całemu światu zmiłowanie, które niedługo nadejdzie.

Usłyszawszy słowo: „Otwórz się!“—radujemy się nietylko z uzdrowienia głuchoniemego, lecz i z błogiej przyszłości, która się dziś otwiera dla pogan.

„Jezus przykazał im, aby nikomu nie powiadali“. Nie życzy sobie, by ten cud rozsławiano, by opuszczał krainę pogańską w tryumfie, odbierał hołdy wywołane chwilowem uniesieniem, a nie głębokiem przekonaniem i pobudką wiary. Jednakże, im On więcej zakazywał, tem daleko więcej rozsławiali i tembardziej się dziwowali, mówiąc: — Dobrze wszystko uczynił — i głuche uczynił, że słyszą i nieme, że mówią“.

Ten drugi cud w krainie pogańskiej przyczyni się do przygotowania roli dusz ludzkich pod blizki zasiew Ewangelii.

Po kilkotygodniowej Swej niebytności, wraca Mesyasz znowu do ojczyzny, do Swego ludu. Wyszedłszy z granic Dekapolskich, zmierzał do brzegów jeziora Genezaret i tu widzimy Go po tamtej stronie jeziora, na puszczy, tej samej, którą przed kilku tygodniami uświęcił cudem, nakarmiwszy pięć tysięcy mężów pięciu chlebami jęczmiennemi. Zniknięcie, usunięcie się z widowni wielkiego Cudotwórcy wywołało pośród Galilejczyków zdziwienie, smu-

tek, popłoch. Kiedy więc dziś przyszła wiadomość o Jego powrocie, możemy sobie wystawić, jak ta nowina roznosi się lotem błyskawicy od wsi do wsi, od miasta do miasta, jakie wywołuje wzruszenie między ludem.

I zaledwie Jezus począł z krainy górzystej spuszczać się ku równinie, nad jeziorem już zbierają się doń rzesze coraz liczniejsze, nietylko z prostej ciekawości, lecz z potrzeby, zbiegają się tłumy z niemymi, ślepymi, chromymi, ułomnymi, jakby na wyścigi, kto kogo uprzedzi, porzucają ich u nóg tego miłościwego Lekarza.

Jezus zajął miejsce na wyżynie, na wzgórzu, i oto na pustyni gwarno, rojno, podobnie, jak niedawno temu na tem samem miejscu, z tą jeno różnicą, że wówczas cuda działy się krótko, w jednym dniu, a teraz przez całe trzy dni Mesyasz czyni wszystkim dobrze, uzdrawia tak, „iż się rzesze dziwowały, widząc nieme mówiące, chrome chodzące, ślepe widzące i chwalili Boga Izraelskiego".

Przez trzy dni rzesze ciągle pozostają przy Mesyaszu i te trzy dni nie dłużą się im; wreszcie jednak przychodzi znużenie, zabrakło chleba, żywności. Jezusowi żal tego ludu, po raz drugi na tej pustyni postanowił zgłodniały lud nakarmić cudownie, a ten cud ma być ponowną próbą wiary Apostołów, bo zdaje się, jakby już zapomnieli o wrażeniach, odniesionych z pierwszego cudownego nakarmienia. Kiedy Jezus mówi im ze wzruszeniem, że Mu żal rzeszy, chce ją nakarmić, oni, zdradzając brak wiary, pytają się: „Skądże nam tak wiele chleba na pustyni, abyśmy tak wielką rzeszę nakarmili?" Po takiem powiedzeniu widzą zaraz cudowne nakarmienie— widzą własnemi oczyma cudowne rozmnożenie chleba w swem ręku, zupełnie tak samo, jak i poprzednim razem — więc zawstydzili się, uczuli ciężką swą winę; — niewiara ich przedstawia się im, jako niewdzięczność, jako zadanie rany sercu ukochanego Mistrza. Upokorzeni tym nowym cudem utwierdzają się na nowo w wierze, i z głębszem jeszcze przekonaniem wyznają „Syna Bożego".

Zbawiciel rozpuścił rzesze. Gdybyśmy mogli przeniknąć, odczuć, co się dzieje w tej chwili w Jego duszy! Nakarmiwszy te rzesze powtórnie cudownym sposobem, powtórnie napomknął im o cudownym pokarmie duszy, który niebawem da za cenę życia Swego, ale „za żywot świata". Przez trzy dni uzdrawiał wszelkie ich niemoce, — zaradzał miłosiernie wszelkim ich potrzebom — i te rzesze uszczęśliwione, wdzięczne, nie chcą rozstać się z Cudotwócą. Rozchodzą się wreszcie, ale do serca Jezusa wnika żałość, smutek, bo ci, co dziś z takiem uniesieniem żegnają Mesyasza, gdy nadejdzie stanowcza chwila nie uwierzą weń. Dzisiaj te rzesze uwielbia-

ją, zdaje się, szczerze Mesyasza, ale jutro, dla bojaźni ludzkiej będą się oglądały na swych kapłanów, Faryzeuszów, będą drżały na ich spojrzenie, na ich groźby; zaś ci kapłani i Faryzeusze nie stracą ani jednej chwili, by to ślepe zaufanie ludu wyzyskać dla swych celów.

Faryzeusze nie zapomnieli ostatniego zajścia, gdy Jezus ukazał ich ludowi i Apostołom, jako obłudników — w sercu ich wre srogi gniew, ale dziś, gdy „poczynają gadać", czynią to w obłudnym zamiarze usprawiedliwienia się przed ludem ze swej niewiary, zawstydzenia przytem Cudotwórcy i ostatecznie nasycenia swej zemsty. Oto przychodzą do Jezusa i bez ogródki „domagają się od Niego znaku z nieba, kusząc Go" — bo są przekonani, że to przechodzi Jego siły. Ale Jezus, jako surowy Sędzia, piętnuje tych przewodników ludu, jako zły rodzaj, przewrotny i dlatego woła z gniewem na nich: „Czemu naród ten znaku szuka? Zaprawdę, powiadam wam, nie będzie dany znak temu narodowi."

Nie chcą uznać Mesyasza, nie chcą Go przyjąć i lud od Niego odciągają. Hasło fałszu i niewiary wychodzi od nich, od starszych ludu, od kapłanów — w imieniu uwiedzionego ludu odmawiają wiary Temu, którego Ojciec posłał. Jest to grzech przeciwko Duchowi Świętemu. A więc dla zatwardziałych, dla niepoprawnych niema już cudu, niema znaku. W świętem zagniewaniu Mesyasz opuszcza ich, odchodzi.

Apostołowie, wstrząśnięci do głębi odprawą, daną Faryzeuszom, którzy śmieli od Mistrza domagać się znaku z nieba, nie mogą pojąć takiego zuchwalstwa tych starszych ludu.

Wreszcie Jezus odzywa się uroczyście: „Patrzcie, a strzeżcie się kwasu Faryzeuszów i kwasu Herodowego."

Niewiara Faryzeuszów jest owym kwasem, który zakwasi, zatruje serce ludu pod osłoną pobożności i świętości Zakonu. Podobnie „Kwasem Heroda" nazwał Jezus tych „przedniejszych z Galilei", którzy ucztowali na dworze Heroda, schlebiali mu i byli świadkami ucięcia głowy świętemu Janowi. Żądni znaczenia przeszli na stronę Heroda, zdradzając nikczemnie własny lud. Ta zaraza, ten kwas, przechodzi z panów, z przewodników na lud—takich Hradyanów już jest pełno wszędzie, płaszczących się, ubiegających się o łaski, o względy księcia poganina, zarażającego swem złem życiem każdego, kto się doń zbliży, kto się przed nim poniża. Takiego „Kwasu" każe się Mesyasz wystrzegać Apostołom i całemu ludowi.

(D. c. n.)

JÓZEF GRAJNERT.

Z DZIEJÓW JASNEJ-GÓRY.

Cuda i dobrodziejstwa.

Syn i Matka uratowani.

Miasto Chełmno, za polskich czasów było stolicą województwa chełmińskiego; obecnie, po zadrapaniu w r. 1772 części Polski przez Prusaków, jest miastem powiatowem regencyi kwidzyńskiej, przezwane po niemiecku Kulm. Leży nad Wisłą. Kilka słów tu powiemy o tem wielce starożytnem i pamiętnem mieście w dziejach polskich, a którego biskup i matka jego byli przedmiotem cudownego zdarzenia.

Już około r. 966 Mieczysław I ufundował tu katedrę biskupią, która przez pogańskich Prusów przy napadzie zniesioną została. W skutek podziału państwa przez Bolesława Krzywoustego pomiędzy synów, w r. 1207 Leszek Biały ustąpił młodszemu bratu Konradowi Chełmno i inne ziemie, które stanowić odtąd poczęły dzielnicę książąt mazowieckich. Lubo Prusowie zburzyli Chełmno 1217 roku, nie odstraszyło to Konrada, od wskrzeszenia na nowo 1222 r. biskupstwa, które powierzył swemu powiernikowi i wodzowi Chrystyanowi. Wynagradzając książę zbrojną jego na Prusów wyprawę krzyżową, po pobiciu tychże i wypłoszeniu z okolic, nadał mu kilka zamków, przydał nadto do dyecezyi sto włości, nakłoniwszy Gedeona, biskupa płockiego, aby dla nowej katedry ustąpił wszelkich dóbr i władzy duchownej między rzekami: Ossą, Drwencą i Wisłą. To ustanowienie biskupstwa pruskiego, pospolicie chełmińskiem zwanego, potwierdził papież Honoryusz III.

Tenże Konrad, na ubezpieczenie się od częstych najazdów Litwy, Jadźwingów i Prusów, sprowadziwszy, niestety, z Niemiec zakonnych rycerzów Panny Maryi, inaczej Krzyżakami zwanych, nadał im w kwietniu 1228 r. Chełmno wraz z ziemią. „Obowiązali się oni wiernie i dzielnie pogaństwo gromić, a po ich zgromieniu rzeczoną ziemię wrócić, inne zaś jakiekolwiek w Prusiech nabytki, między sobą a książęciem lub jego następcami równo dzielić. Obie-

cali także żadnego Polakom gwałtu i krzywdy nie czynić, nieprzyjaciół onych do siebie nie przyjmować, ani im pomocy dawać; na każde też Polaków zawołanie onych przeciwko poganom posiłkować. Co gdyby tych obowiązków nie wypełnili, karom prawami narodów uchwalonym przeciw niewdzięcznym, to jest odjęciu dobrodziejstw, podpadać mają".

Wkrótce ci chytrzy przybysze, osłaniający się walką z niewiernymi na cześć Maryi, dokazali, iż biskup chełmiński ustąpił im wszystkich donacyj od Konrada i Gedeona kościołowi uczynionych. Zachował wszakże sobie Chrystyan najwyższą zwierzchność. Krzyżacy zostawić mieli jemu i jego następcom pięć folwarków, bez żadnej temu zakonowi krzyżackiemu podległości. Nie mieli puszczać nikomu dóbr sobie ustąpionym lennem, to jest uzależnionem, warunkowem prawem, bez pozwolenia biskupa, a ci wszyscy, którzy od nich te ziemie trzymać będą, mieli wojować swoim kosztem pogaństwo i ono biskupstwu podbijać. Podczas wojen z niewiernymi, chorągiew biskupia ma poprzedzać chorągwie tych mnichów-rycerzy, a gdziebykolwiek biskup do ich dóbr przyjechał, mają go przyjmować jako pasterza i pana swojego, dostarczając wszelkich potrzeb. W przypadku niedotrzymania tych obowiązków, od wszystkiego Krzyżacy odpadać powinni byli". Taką zawarto podówczas umowę.

Nie upłynęło lat 70, gdy żmije krzyżackie, nietylko że nie dotrzymały tych zobowiązań, ale wytępiwszy ogniem i mieczem pogańskich Prusów, harde swe głowy i przeciwko samej Polsce podniosły.

Tymczasem po takich układach 1232 r. Herman Balck, pierwszy ich mistrz prowincyalny, czyli wielki komtur, zajął się odbudowaniem spalonego i zburzonego przez Prusów zamku wraz z miastem i obdarzył je tegoż roku w grudniu prawem zasadniczem. Krzyżacy, obejmując Chełmno i nadając je mieszczanom, zastrzegli: aby to miasto i inne w tej ziemi prawem magdeburskiem się rządziły. Że zaś tym przywilejem Chełmno za miasto główne na całe Prusy, a sąd w niem ustanowiony za wyższą instancyę uznanym został, przeto wzorowane prawo Magdeburga zamienione lub pomnażane wilkierzami, czyli uchwałami miejskiemi, Chełmna, nie zwało się w Prusiech i w prowincyach polskich, dokąd przechodziło, Magdeburskiem lecz Chełmińskiem.

Wzmocnione miasto murami obronnemi, otrzymało 1239 r. przywilej bicia monety. W pięć lat potem Swiatopełk, książę pomorski, w wyprawie swojej nie mogąc zdobyć zamku, zniszczył miasto przez

podpalenie. Gdy też miejscowość ta dla swego nizkiego położenia podlegała zalewom Wisły, przeto cała posada w r. 1253 przeniesioną została opodal na wyniosłe wzgórze, otrzymawszy za herb dziewięć gór, a na jednej z nich krzyż — godło krzyżackiego zakonu.

Gdy Chełmno przystąpiło do handlowo-kupieckiego czyli hanzeatyckiego związku miast niektórych niemieckich i polskich, osiedlane być poczęło przez Anglików, Duńczyków i Holendrów; handel przyczynił się do szybkiego wzrostu miasta, a kupcy okazałe budowali domy.

Chełmno było stolicą siedmnastu krzyżackich mistrzów prowincyalnych w Prusiech; lecz gdy w r. 1309 wielki mistrz zakonu przeniósł siedlisko swoje z Niemiec do Malborga, zniesiony został urząd Mistrza prowincyalnego w Chełmnie.

Zbrojni, wiarołomni mnisi, wzbiwszy się przy pomocy całych Niemiec w siłę i znaczenie, nietylko że nie dopełniali zobowiązań, ale nadto, wkraczając do Polski, pożogi i spustoszenia roznosili.

Roku tedy 1328 Władysław Łokietek, nie chcąc już dalej cierpieć od Krzyżaków tych swoich krzywd wielkich, uczynił pospolite ruszenie przeciwko nim, mając do tego pomoc od Roberta, króla węgierskiego, zięcia swego, a też od Litwy i Rusi, wyciągnął do ziemi chełmińskiej i zawojował ją aż do rzeki Ossy. Zamkom tylko dał pokój, na których się Krzyżacy wszędzie pozawierali, a bitwy mu nigdzie polem dać nie chcieli. Wyroili się z nich potem, przez nowych Niemców wzmocnieni, paląc, burząc wsie i miasta, wyrzynając polski lud, aż im znowu strasznie Łokietek przytarł rogi pod Płowcami i na Kujawach.

Syn jego, Kazimierz Wielki, po długiej z nimi wojnie, dla zabezpieczenia spokojności z ich strony, mając oczy zwrócone na Ruś Galicyjską, pragnącą rządów polskich, ustąpił im traktatem kaliskim w r. 1343 wieczyście ziemie: chełmińską i michałowską. Lecz i potem spokoju tutaj z ich strony nie było. Napróżno Jagiełło łożył starania celem odzyskania tych ziem, staczał zwycięskie boje, a 1422 r. zniszczył okolice Chełmna.

Uciskani przez Krzyżaków obywatele pruscy poddają się dobrowolnie 1454 r. uroczystym aktem Kazimierzowi IV Jagiellończykowi. Powróciła wprawdzie ziemia chełmińska wraz z innemi pod berło polskie; lecz wynikła z tego powodu zacięta z zakonem wojna, w czasie której Chełmno, najznakomitsze z miast pruskich, smutnego doznało losu. Wskutek porozumienia się tajnego mieszczan niemieckich z Krzyżakami, otwarto im bramy 1457 r. Odzyskawszy je, król tegoż roku, surowo karze takowe przeniewierzenie się, ska-

zując burmistrza i pięciu rajców na gardło, miasto na łup żołnierstwu oddaje i znosi apelacye innych miast do Chełmna w sprawach sądowych. Nakoniec pokojem toruńskim zrzekł się pokonany zakon krzyżacki i nazawsze Polsce odstąpił ziemię chełmińską, która odtąd zamieniona została na województwo. Król Aleksander w r. 1505 darował miasto biskupom chełmińskim.

W czasie krzewiącej się reformacyi Lutra, miasto upadać zaczęło, a wojna szwedzka za Jana Kazimierza prawie doszczętnie je zniszczyła. Napróżno starali się biskupi podźwignąć je z gruzów. Nieład i klęski krajowe stawały na przeszkodzie.

Szkoły, zostające tu pod zwierzchnictwem biskupów, zaszczycone były tytułem akademii. Papież Urban VI przywilejem swym z r. 1387 porównał ją z prawami uniwersytetu bonońskiego. Pierwsza myśl założenia tej akademii wyszła od mistrza wielkiego krzyżackiego Winryka von Kniprode. Po reformacyi, począwszy od roku 1691 stała się ostatecznie akademia chełmińska filią akademii krakowskiej, od której wzrost i rektorów swoich brała. Za rządów pruskich, po 1-ym rozbiorze kraju w roku 1772, akademia chełmińska coraz bardziej podupadła; odtąd też Chełmno do biskupów należeć przestało.

Mieszczanie trudnili się niegdyś uprawą winnic; nietylko mieli wino na potrzeby, ale i na sprzedaż.

Oprócz bardzo starożytnej i pięknej fary, z r. 1233, z obrazem cudownym Najświętszej Maryi Bolesnej i wielu pomnikami, oraz grobami, a też z relikwiami świętego Walentego i świętego Jana Kantego, istnieje tu jeszcze po Benedyktynkach klasztór i kościół piękny Szarytek czyli sióstr miłosierdzia. Zniknęły zaś w części przy najeździe Szwedów, a głównie po okupacyi pruskiej kościoły: świętego Ducha, świętego Jerzego, świętego Marcina i świętej Agnieszki wraz z klasztorami Dominikanów, Franciszkanów i Łazarzystów czyli misyonarzy.

Miasto porządnie zbudowane nie posiada przedmieść; wśród rynku stoi piękny ratusz z wieżą. W r. 1775 wybudowano kształtny gmach dla kadetów, a roku 1782 pierwszy kościół ewangielicki w mieście.

W roku 1676, gdy Jan Sobieski po bohaterskich bojach z Turkami pod Żórawnem odebrał im pół Ukrainy, późniejszy biskup chełmski, Stanisław Święcicki, podówczas biskup spigaceński, dziekan inowrocławski, zeznał w klasztorze Jasnogórskim OO. Paulinom o swojem w dziecięctwie konaniu i uzdrowieniu, a także o przywróceniu do zdrowia swej matki, paraliżem po kilkakroć tkniętej, te słowa:

„Pannie przebłogosławionej, której święty obraz na Jasnej-Górze częstochowskiej, wielkiemi całą Polskę dotychczas ubogaca dobrodziejstwy, im więcej ludzi vota swoje pobożnem sercem oddają, ja też niżej podpisany w osobie mojej uznaną łaskę do jawnych ksiąg podaję.

Z rodziców szlachetnych Jakóba Święcickiego i Katarzyny Wąsowskiej, Roku Pańskiego 1621, dnia 4 oktobra (października) urodziwszy się, żadnej innej matki pokarmu zażywać nie chciałem, tylko własnej matki mojej, która gdy każdego roku w niedzielę drugą po Wielkiejnocy, zwykła była nawiedzać święty obraz częstochowski i wielu z sobą prowadząc, żywiła własnym kosztem, długo się biedziła z myślami, czy nabożeństwu, czy też dziecinie dogodzić miała, gdyż pokarmu od innej niewiasty strachała się. Przemogło nabożeństwo do Najświętszej Panny, a zostawiwszy syna w tej nadziei, że w niebytności matki własnej może innej niewiasty pokarmu zażyje, wybrawszy się, poszła pieszo z drugimi na podziękowanie za potomka, a z prośbą o zdrowe i uczciwe wychowanie jego.

Gdy powracała drugiego tygodnia do domu, jeden z domowników zabiegłszy jej drogę, daje znać, że synaczek kona, bo już trzynaście dni bez pokarmu zostawał, nie mogąc przezwyciężyć wstrętu do obcej piersi.

Zatrwożona matka, wpadłszy do domu, ledwie tchnącego syna weźmie na ręce, a uklęknąwszy przed obrazem Najświętszej Panny Częstochowskiej, w domu zawsze będącym, pocznie wzywać Jej opieki, aż wtem umierający przyszedł do siebie, a karmiąc się znowu ukochaną piersią matczyną, zupełnie ozdrowiał.

Znowu tedy nazad do Częstochowy z tak uzdrowionem dziecięciem powróciła na podziękowanie i oddanie siebie i synka w opiekę Najświętszej Pannie, a potem tem pilniej nawiedzała miejsce święte.

Aleć i pobożnej niewieście, a matce mojej, Najświętsza Panna wielką uczyniła łaskę, kiedy po cztery razy paraliżem nawiedzoną, życiem i zdrowiem darowała tak prędko, że po bezwładnej niemocy, drugiego albo trzeciego dnia w północ modlącą się domownicy znajdywali.

Tak zeznaję ja, Stanisław Hyacent Święcicki, biskup spigaceński, scholastyk gnieźnieński, dziekan inowrocławski, archidyakon i proboszcz świętego Jerzego, oficyał warszawski i t. d.“

Tu dodamy, że Stanisław Święcicki, ostatecznie biskup chełmiński, urodził się we wsi Święcicach, ziemi warszawskiej, gdzie właśnie wraz z matką swoją doznał owych cudownych przygód.

Pochowany został r. 1696 w Chełmnie, zostawiwszy po sobie piękną pamięć, iż był biskupem gorliwym i bardzo dbałym o oświatę ludu kapłanem.

Marya Bogusławska.

DZIECKO WIELKOPOLSKIE.

Powiastka uwieńczona pierwszą nagrodą na konkursie „Łanu Polskiego".

Państwo Malinowscy posiadali sklepik w ślicznem miasteczku Buku, pod Poznaniem. Malinowski słynął, jako rozumny i dzielny człowiek, a żona jego z dobroci i pobożności. Mieli dwoje dzieci: dziesięcioletnią Bożenkę i młodszego od niej o rok, Zbyszka.

Mieszkanko ich wzorowej czystości, byłoby gniazdkiem bardzo szczęśliwych ludzi, gdyż cała rodzina cieszyła się zdrowiem, miłością ludzką i względnym dobrobytem, gdyby nie szkoła pruska.

Dzieci zmuszone były uczęszczać do niej, niemiecki język przychodził im z trudnością, a nauczyciel, niezmiernie surowy, dla nich był jeszcze bardziej wymagającym, wywierał bowiem często na nich swą niechęć do ojca, dobrego Polaka.

Nieraz wracały dzieci ze szkoły spłakane, a w domu zamiast zabawić się, pójść na spacer, musiały do późnej nocy siedzieć nad trudną gramatyką niemiecką lub wykuwać niedostępne dla siebie formuły katechizmu w obcym języku. Pani Malinowska cierpiała na równi z dziećmi nad ich niedolą, jak mogła pomagała im w nauce, chodziła do nauczyciela prosić go o względność, ale to ostatnie najmniej było skuteczne. Nauczyciel Niemiec nienawidził Polaków i jak mógł znęcał się nad ich dziećmi.

Aż przyszedł dzień, w którym Janek Madejski, syn młynarza, najlepszy uczeń w klasie i najśmielszy z chłopców, oznajmił wszystkim polskim dzieciom w szkole, że nie można dłużej milcząco zno-

sić prześladowania, że trzeba naradzić się, jak postępować nadal, wypada zatem zwołać wiec.

Większość dzieci nie rozumiała, co to znaczy.

Wówczas Janek wytłómaczył im, że idzie o walną naradę. Poczęto myśleć nad tem, gdzie się zebrać.

I pokazało się, że w mieście wszędzie byliby obserwowani, postanowiono zatem o oznaczonej godzinie stawić się na cmentarzu za miastem.

Po południu dzieci ostrożnie, pojedyńczo lub najwyżej po dwoje, troje, poczęły ściągać na cmentarz, niektóre niosły kwiaty i wieńce dla łatwiejszego oszukania czujnego oka policyi pruskiej.

Janek Madejski przemówił pierwszy, tłómacząc zebranym, że ojciec jego i inni panowie mówili, że gdyby wszystkie dzieci polskie odmówiły odpowiadania religii w niemieckim języku, co jest bezprawiem, to musieliby Niemcy ustąpić, osiągnęłoby się tyle, że nauka świętej religii przestałaby być bezczeszczoną przekręcaniem pojęć przez wypowiadanie ich w niezrozumiałym dla dzieci języku.

Z kolei zabrała głos Janinka Wrede, trzynastoletnia dziewczynka, nad wiek rozwinięta i wielka entuzyastka. Ta powiedziała, że katechizm niemiecki jest bezeceństwem, po którego dotknięciu Polak ręce myć powinien, że one „kobiety polskie ze szkół pruskich“ nie ulękną się niczego: ani bicia, ani tortur, ani śmierci.

Ta mowa najbardziej podobała się dzieciom, przyjęto ją oklaskami i pochwałami, a koleżanki omal nie zdusiły Janinki w uściskach. Mała Wańdzia Brukówna oświadczyła nawet, że gdyby Janinkę mieli torturować, to ona za nią najsroższe męki zniesie.

Wiec zakończył się postanowieniem nie odpowiadać z religii, dopóki będzie prowadzona w języku niemieckim.

Nazajutrz dwie pierwsze lekcye: niemieckiego i rachunków przeszły spokojnie, dopiero, gdy nauczyciel rozpoczął trzecią godzinę i rzekł:

— Teraz zajmiemy się katechizmem — jakiś tajemniczy szmer przeszedł po klasie. Dzieci polskie wymieniły między sobą porozumiewające spojrzenia. Serduszka ich drżały, jak ptaki wyjęte z gniazdek.

Pierwsza odpowiadała Gertruda Hoeche, Niemka, otrzymała doskonały stopień i gorącą pochwałę.

Nauczyciel popatrzał po klasie i spostrzegłszy, że Zbyszko Malinowski szepcze coś do siedzącego obok Tadzia Mrówki, rzekł ze zmarszczoną brwią:

— Malinowski nie uważa!

Zbyszko wyprostował się i spojrzał z niepokojem na nauczyciela.

— Malinowski — powtórzył nauczyciel — opowiedz mi historyę o Jonaszu.

Zbyszko podniósł się, lecz milczał.

— Nie umiesz nawet zacząć — warknął Niemiec.

Wszystkie polskie dzieci patrzały na Zbyszka z najwyższym niepokojem.

— No, ośle, może potrafisz mi powiedzieć, kto był Jonasz?...

Zbyszko milczał.

— No, któż to był?... kapłan, poeta, feldfebel, wielbląd, ptak, mucha?... — pytał szyderczo nauczyciel. — O, ty bałwanie nad bałwanami! Pójdź do mnie!

Chłopiec zbliżył się, blady jak ściana. Nauczyciel ujął jego dłoń; trzcina trzykrotnie gwiznęła w powietrzu, trzykrotnie ze ściśniętych warg Zbyszka wydobył się tłumiony jęk. Wracał na swe miejsce, patrząc na dłoń, na którą wystąpiły krwawe pręgi.

— Może Malinowski dlatego nie umiał lekcyi — mówił — że pomagał ojcu w robieniu agitacyi wyborczej, a może w domu była jaka patryotyczna narada... No, zobaczymy, czy to i siostrze przeszkodziło do nauczenia się lekcyi... No... Boszena... Malinowska...

Bożenka podniosła się.

— Opowiadaj historyę o Jonaszu.

Bożenka milczała.

— Cóż to i ty ani w ząb!... Tyś lepsza uczennica od brata.

Bożenka miała anielską twarzyczkę, a w tej chwili opromieniała ją taka słodycz i powaga, że nawet surowy nauczyciel uległ wrażeniu.

— Nie umiesz? — rzekł — no, to przeczytaj!

Bożenka nie ruszała się.

— Nie masz książki? — pyta.

— Tak, Malinowska nie ma książki, ja także nie przyniosłam swojej — rzekła siedząca przy niej koleżanka Niemka... może Luiza...

— To pójdź, przeczytasz z mojej — rozkazał nauczyciel.—No, pójdź do mnie!

Jak automat zbliżała się Bożenka do katedry.

— Masz, weź książkę i czytaj!

Podał jej książkę.

— Bierz-że!

Bożenka wyciągnęła rękę, ale w tej chwili przypomniała sobie słowa Janiny, że niemiecki podręcznik do nauczania religii plami

polską dłoń, prawie machinalnie nakryła rękę fartuszkiem i tak ujęła podaną książkę.

— A to co za fanaberye! — wykrzyknął Niemiec. — Cóż to moja książka zatruje cię, czy splami? A ty szelmo polska! to jakieś umyślnie urządzane hece! Ja cię tu nauczę!

Rozwścieczony pochwycił trzcinę, wymierzając moc razy na plecy i ręce dziewczęcia. Bożenka ani jęknęła. Trzcina z przeciągłem gwizdnięciem wyleciała z rąk oprawcy.

— Czytaj teraz! — wrzasnął, znowu zwracając się ku niej z książką.

Bożenka stała blada jak ściana, z obwisłemi wzdłuż bioder rękoma.

— Powiesz mi, co znaczy to milczenie, czy nie? — pienił się nauczyciel.

Dziewczę nie odpowiadało, zacięte, zdecydowane na wszystko.

— Precz mi z oczu! Co ja tu będę nad tobą czas tracił!

Pchnął ją z taką siłą, że biedne dziewczę zatoczyło się i padło, uderzając głową o piec. Z ust jej wydobył się pierwszy jęk, dopiero z utraconą przytomnością. Przez klasę przeszedł szmer grozy. Nawet dzieci niemieckie zaczęły wołać o pomoc dla zemdlonej. Nauczyciel sam się zaniepokoił; kazał przynieść wody, ocucono Bożenkę, ale dziewczynka dostała nerwowego drżenia, które rzucało nią konwulsyjnie. Nauczyciel pod pozorem potrzeby przywrócenia porządku w klasie, pozwolił Zbisiowi odprowadzić siostrę do domu

Wieczorem Bożenka dostała silnej gorączki. Nazajutrz przywołany lekarz zadecydował zapalenie mózgu.

Przez blizko dwa tygodnie była Bożenka między życiem a śmiercią. Miasto całe poruszone zostało tym wypadkiem. Szeregi osób, zupełnie postronnych, nieznanych przychodziło dowiadywać się o zdrowie bohaterskiej dzieweczki. Pewnego poranku otworzyła oczy i zupełnie przytomny wzrok zatrzymała na matce.

— Mama! — szepnęła z niewymowną radością.

Potem powiodła wzrokiem po cudnych kwiatach, otaczających jej łóżeczko.

— Tyle kwiatów! — szepnęła — czy ja jestem już w niebie?

Rozejrzała się znowu i dodała z lękiem:

— Ale tu niema Prusaków?

— Niema, córeczko, niema!

— To opowiem mamusi, jaki dziwny sen miałam.

— Nie mów dziecino, zmęczysz się.

— Ja tak chcę opowiedzieć.

— Opowiesz później, gdy będziesz zdrowszą.

— Później zapomnę.

— Boję się, że cię zmęczy opowiadanie.

— Ja będę mówiła cichutko... siądź tu, matuchno, blizko i daj uszko.

Pani Malinowska siadła na łóżku Bożenki, która zarzuciła ręce wkoło jej szyj i mówiła cichym, przerywanym głosem:

— Śniłam, matuchno, że byłam w cudnym ogrodzie, po którym biegało dużo innych dzieci, wesołych, szczęśliwych, takich ślicznych... bo to było niebo, mamusiu. Dzieci zrywały kwiaty i wiły girlandy... Wtem w cienistej alei ukazał się Pan Jezus... taki, jak u nas na krzyżu; nawet ślady ran miał na rękach i nogach, ale twarz promienistą, pogodną. Wszystkie dzieci zaczęły biedz naprzeciwko Chrystusa i podały mu kwiaty, girlandami otaczały wkoło, liśćmi zielonemi słały mu drogę... Ja stałam na boku... chciałam także podać jaki kwiatek, ale nie śmiałam zerwać... Wtem Pan Jezus zbliżył się do mnie i zapytał słodkim głosem: — A ty nic mi nie dasz? ty, coś świeżo przybyła do mego ogrodu? A ja zawstydziłam się bardzo i ręce pokornie złożone wyciągnęłam do Chrystusa... On wziął je w swoje dłonie i popatrzał... a ja, mamusiu, na prawem ręku miałam krwawe przecięcie od trzciny nauczyciela... tak mi się śniło... Och, ja naprawdę mam bliznę... prawda to... już wiem... Ale w tym śnie, mamusiu, to mi się wydało, że Chrystus zwrócił się do otaczających Go dzieci, wskazał na ranę i rzekł:

— To kwiat najpiękniejszy! I wziął dłoń moją i zwiesił ją ku ziemi.... Krew z niej spływać zaczęła kroplami maleńkiemi i spadała na ziemię na czoło różnych dziatek, pochylonych nad katechizmem niemieckim... a to były polskie dzieci... tak śniłam... I zobaczyłam, że te dzieci zaraz podnosiły się, rosły w moich oczach i stawały się wielkie... takie wielkie...

Bożenka zakreśliła szeroki giest wychudłemi rączynami i wyczerpana opadła na poduszki. Matka, zaniepokojona, zbliżyła do ust jej kubek ożywczego płynu. Dziewczynka wypiła chciwie, potem zachwyciła powietrza zbladłemi usteczkami i wyszeptała ledwie dosłyszalnym głosem.

— Piękny sen... prawda, mamusiu?

— Piękny, dziecino, i prawdziwy!...



Kacper Karliński na murach Olsztyna.

Chwały ziemi polskiej.

KACPER KARLIŃSKI.

Miała Polska szczególnie za czasów piastowskich, jagiellońskich i za Wazów, bohaterów, którym równych możnaby znaleźć chyba w starożytnym Rzymie. Czyny ich zawsze budzić będą cześć i podziw. Wśród nich zaś serdeczna ofiara, złożona na ołtarzu ojczyzny przez Kacpra Karlińskiego, jaśnieć będzie wiecznie słonecznem światłem poświęcenia bezgranicznego.

Nie zawahał on się, gdy chodziło o honor i ocalenie ojczyzny, wszystkich synów oddać jej w ofierze, nie zawahał się i ostatniego, który został przy życiu, wydać na śmierć z okrzykiem: „Pierwej byłem synem matki ojczyzny, niż ojcem mojego dziecka!"

Dzięki takim mężom, jak naprzykład Kacper Karliński, Polska stała się wielką wśród narodów.

A choć od czynu Karlińskiego dzielą nas wieki, żyje on wśród nas, wie o nim tak starzec jak dziecię.

Na murach Olsztynu w marzeniach naszych widzimy go, jak zapalony lont trzyma w ręku, jak wzrokiem bohatera mierzy wrogie hufce niemieckie, żelaznym pierścieniem otaczające zamczysko. [1])

Sercem poety odczuł tę chwilę Władysław Syrokomla i po mistrzowsku odtworzył w jednej ze scen dramatu, p. t. „Kacper Karliński".

Wódz mówi, zagrzewając do dalszej walki obrońców Olsztyna:

> Niełatwo Niemcy ugryzą te skały!
> Dać ognia z armat! Hej mości panowie,
> Nie czas do rady!... Już Boskie zamiary
> Wskazały naszej powinności drogę.
> Śpieszcie na wały!... a tej baszty starej
> Ja z jednem działem sam tu bronić mogę.
> Z tej wysokości, między dwa parowy

---

[1]) Olsztyn, dziś osada w powiecie częstochowskim, w pobliżu Częstochowy, niegdyś gród warowny, sławny w dziejach polski, w którym gościł książę Władysław Opolski, gdy cudowny obraz Matki Boskiej sprowadzał do Częstochowy. Czcigodne ruiny zamku olsztyńskiego do dziś budzą podziw zwiedzających.

Kula puszczona cały hufiec zwali.
Hola! puszkarze!...

Jeden z puszkarzy.

Działo nabite, a lont już się pali.
Toż się, mój Boże, całą noc nie spało.
Oczyścić... nabić... to praca niezmierna...
(*Słychać okrzyki oblegających Niemców*).

Karliński.

Atak się wzmaga... a więc rychtuj działo!... pal!...
(*Wtem przybiega jeden z rycerzy i chwyta za lont, nie pozwalając strzelać. Karliński z gniewem zwraca się do niego*).

Czachrowski (*mówi doń szybko).*

To ja, druh twój stary,
Choć dziś w obozie twoich wrogów służę [1],
Bóg losy krajów zapisał już w górze.
Czy Maksymilian, czy Zygmunt król będzie,
My tego grzeszni rozwiązać nie godni.
Ja, starą przyjaźń mający na względzie,
Przybiegłem dzisiaj wstrzymać cię od zbrodni.
Patrzaj, Karliński! tam chorągiew wieje,
A przed chorągwią widzisz ten punkt biały?
To Lichtensteina [2]) wojenne nadzieje:
To syna twego niosą na wystrzały!...
Strzelaj, gdy możesz!...

Karliński.

Jakto, mego syna?...

Czachrowski.

Widzisz punkt biały, ot, tu, przy opoce?
Kula nim nasze hufce poprzerzyna,

---

[1]) Był stronnikiem arcyksięcia austryackiego Maksymiliana, przeciwnika Zygmunta III.

[2]) Wódz hufców niemieckich, popierających Maksymiliana na tron polski.

Twojemu dziecku piersi pogruchoce!
Wódz rakuszański chciał go mieć za tarczę
Swojego życia, przy szturmie wśród kuli...
Wpadłem cię ostrzedz! Teraz strzelaj, starcze!...

Puszkarz *(rzucając lont),*

Panie, twe serce niechaj się rozczuli!

Jeden z rycerzy.

Wodzu, kraj takiej próby nie wymaga!

Czachrowski.

Bracie mój dawny, miej litość nad sobą!

Jeden z rycerzy.

Oddaj im zamek!...

(Słychać wrzawę wojenną Niemców, szykujących się do szturmu).

Karliński.

Odwaga! odwaga!
Panie, zbyt ciężką dotknąłeś mię próbą!
Łzy płyną z oczu... drży serce... drży ręka...
Mróz lodowaty przebiega me kości...
W obliczu wrogów Karliński się lęka,
Lęka spełnienia swojej powinności!
Tam król... tam hetman... krew dziecka... płacz żony!...
Tego zanadto!... o, poddać się raczej!...

(Bierze do ręki białą chorągiew).

Kacprze Karliński! Shańbiony! Shańbiony!
Chciałeś się podle poniżyć w rozpaczy!
Krew mego syna upadnie na wroga:
Nie ja zabójca, ale on zabójca...
Ziemio rodzinna, matko moja droga!
Przebacz, że chwilę miałem serce ojca!
Synu mój drogi! starą moją głowę
Któż tu przytuli? Kto do trumny złoży?
Ty miałeść wskrzesi wspomnienie ojcowe

W tobie rycerstwa był widny duch Boży,
Lecz musisz umrzeć!...

(*Waha się chwilę wódz rozpaczający, poczem rzuca na ziemię białą chorągiew*).

Przebaczcie mi, nieba!
Żem się zawahał w tak stanowczej sprawie!
Synu! czas przyszedł — wylać krew potrzeba!
Na drogę śmierci ja cię błogosławię!
Żegnaj mi, synu, cześć twej młodej głowie!

(*Chwyta za lont, wyrywa go z ręki puszkarza, który stoi w osłupieniu*).

Że krew przelałeś w krajowej potrzebie,
Kocham cię więcej, niźli własne zdrowie!
Ale powinność droższa mi od ciebie.
Ziemio mych ojców! bierz dar prawowierny
Z krwi pacholęcia i z ojca katuszy!
Boże najwyższy! Ojcze miłosierny!
Bądź tak miłościw jego czystej duszy!

(*Przykłada lont do zapału armaty, wystrzał się rozlega*),

Strzał ten stał się hasłem do boju. Zawrzała walka, w której Niemcy przegrali i w sromotnej ucieczce z pod murów Olsztyna ocalenia szukali. Szatański ich podstęp nie udał się, choć przed szeregami swemi, idącemi do szturmu, nieśli schwytane w okolicy zamku dziecię Karlińskiego, choć myśleli, że ojciec, widząc syna, narażonego na śmierć pewną, cofnie się. Nie udał się szatański, barbarzyński podstęp. Bohaterski czyn Karlińskiego unicestwił zamiary wroga.

Jeden z rycerzy.

Pierzchają Niemcy, szeregi popsuli...
Trupy, jak pomost... a nasz panicz z Martą [1])
Padli zabici odłamkami kuli!...

Bóg spojrzał na rozpacz Karlińskiego, nagrodził czyn jego, bo wrócili niebawem z dalekich stepów mongolskich dwaj jego synowie, Marcin i Walenty, których poczytywał był za poległych. Ci otoczyli opieką tkliwą sędziwe lata bohatera. Z ośmiu synów tych dwóch przekazało ród Karlińskich potomności. *St. G.*

---

[1]) Piastunka małego Karlińskiego.

Zimowanie wśród lodów.

Nadzwyczajne przygody w podróży do bieguna ziemi.

Ciąg 6.

— Doktór na prawo do pierwszego strzału, jako gość w tych stronach! — zawołał komendant.

— Tylko jeszcze musimy bliżej podpłynąć — dodał.

— Mierzyć, tylko dobrze! — doradzał Wall.

Wszyscy skupieni, wytężali wzrok w stronę zwierzęcia. Doktór, teraz już zupełnie spokojny, stał ze strzelbą gotową do strzału. Zbliżono się już na odległość conajwyżej stu kroków.

— Doktorze, baczność! — zawołał półgłosem Shandon.

Doktór złożył się, padł strzał i jednocześnie stała się rzecz niespodziana.

Oto, gdy niedźwiedź raniony celnym strzałem, zsunął się do wody, natychmiast na powierzchni ukazało się kilka morsów, które z zaciętością rzuciły się na zdobycz.

Ale nieźwiedź, ranny tylko, odzyskał pod wpływem niebezpieczeństwa tyle sił, że zdołał jednego z napastników łapą rozedrzeć, a sam wygramolił się z trudem na brzeg.

Widać było, że jest ciężko raniony, bo upadł, dysząc.

Widząc to, morsy, które toczą z polarnym niedźwiedziem wieczną wojnę, poczęły się wynurzać, błyskając ostremi kłami. Wall zdołał naliczyć ich ośmiu.

— Baczność, panowie! Te bestye, gdy się z wrogiem załatwią, mogą się rzucić na nas i przedziurawić nam czółno! — ostrzegał baczny na wszystko Shandon.

Ale morsy narazie nie myślały o tem. Kilka silniejszych wypływało na brzeg, by zaatakować nieprzyjaciela, który szykował się do stoczenia ostatecznej walki.

Niewiadomo, jaki byłby rezultat, bo morsy, w liczbie pięciu, stanowiły przewagę nad rannym niedźwiedziem.

Już—już lśniące kły morsów miały zaczepić rannego, który opadł bezwładnie, wyczerpany z sił, gdy z za złomu góry wypadł drugi niedźwiedź i jakby pragnąc pomścić zabitego, rzucił się z bły-

skawiczną szybkością na napastników. Już dwa lśniące cielska leżały bezwładnie rozdarte, a reszta morsów wskakiwała pospiesznie do wody, gdy rozległ się strzał, tym razem zo strzelby Shandona.

Komendant chybił. Rozwścieczona bestya popatrzyła na łódź z myśliwymi i jakby namyślając się, co czynić, stała przez chwilę bez ruchu. Wtedy przyszła kolej na Walla. Złożył się, wypalił, lecz mierząc w oko, chybił, drasnąwszy tylko lekko zwierza po skórze.

Niedźwiedź, rozgniewany, rzucił się do wody, by wpław dosięgnąć śmiałków, którzy zakłócili mu spokój. Lecz morsy, które czuwały pod wodą, rzuciły się na nieprzyjaciela, który w wodzie nie miał tej sprawności, co na lądzie, i był mniej niebezpiecznym.

— Teraz, żywo! — zakomenderował Shandon. — Musimy skorzystać z chwili. I morsy musimy przetrzepać, bo inaczej, będzie krucho.

Ostrożnie podsuwano się do miejsca walki. W wodzie wrzało. Niedźwiedź, opadnięty ze wszystkich stron, bronił się dzielnie, choć już któryś z przeciwników musiał mu drasnąć kłem łapę, bo ukazała się krew.

Jeden mors wypłynął już na wierzch z rozprutym brzuchem, ale inne nie dawały za wygraną. Walka wrzała na dobre.

Wtedy huknęły strzały. Każde wypływające na wierzch zwierzę witano kulami. Wreszcie trafiony celnie niedźwiedź wynurzył się bezwładny. Wtem coś zakotłowało się pod czółnem i myśliwi poczuli silne wstrząśnienie.

— Ocho! Zabierają się już do nas! — krzyknął z przerażeniem doktór.

I istotnie, wkrótce tuż przy sterze wysunął się potworny łeb, zbrojny parą potężnych kłów, lecz ugodzony przez Pen'a wiosłem, schował się coprędzej. Po chwili znów czółno zakołysało się i zauważono, że przez dno zaczyna przeciekać woda.

Potwory postanowiły sę zemscić, bo nie wypływając na strzał, szarpały kłami dno łódki. Niebezpieczeństwo było wielkie i musiano je na statku zauważyć, po chwili bowiem druga szalupa z harpunnikiem na czele, ukázała się na fali.

Nie było chwili do stracenia, łódź napełniała się coraz szybciej wodą. Wall strzelił, bo oto jeden z morsów znów się wychylił. Tym razem strzał był dobrze wymierzony, potwór zafarbował wodę i znikł na chwilę. Wkrótce cielsko jego zakołysało się na falach.

Łódź przybliżała się z odsieczą, bo też i czas już był najwyższy. Morsów musiała być większa ilość, gdyż atakowały łódź zawzięcie, nie zwracając wcale uwagi, ani na straty, ani na kołyszące się cielsko zabitego niedźwiedzia.

— Bywaj! — krzyknął doktór.

— Prędzej! bo nas tu te bestye poprują — wołał Shandon.

Po paru uderzeniach wioseł łódz przybiła, i myśliwi w jednej chwili opuścili swe podziurawione czółno.

— A teraz, do okrętu! — zakomenderował Shandon.

Odbito kilkanaście kroków i wtedy dopiero morsy wynurzyły się z wody, usiłując wywrócić tonące czółno.

— Ognia! — zakomenderował Shandon.

Huknęło kilka strzałów i trzy bestye znów legły nieruchomo na wodzie. Czekano chwilę.

— No, teraz już chyba się nie pokażą — zadecydował komendant.

— Spróbujmy podpłynąć do wysepki i zabrać zabitego niedźwiedzia.

— Powinszować doktorowi celnego strzału! — zawołali myśliwi chórem.

Doktór skromnie podziękował, poczem wszyscy zabrali się do wioseł. Ubitą zwierzynę zahaczono i na sznurach pociągnięto po wodzie w stronę statku.

Tu powitano myśliwych gromkiemi okrzykami. Wszyscy pozostali śledzili przez lunetę przebieg polowania. Winszowano doktorowi, który jednym celnym strzałem położył zwierza.

Ale uczony, mało zwracając uwagi na komplementy, chociaż dziękował grzecznie i kłaniał się, doglądał tylko tego, by zdobycz nieuszkodzoną wciągnięto na pokład. Dwa zabite niedźwiedzie odznaczały się nadzwyczajnym wzrostem, morsy zaś potężnemi kłami, które się lśniły, jak kość słoniowa.

Nie mniej od doktora cieszył się kucharz Streng, który obiecywał przyrządzić doskonałe łapy niedźwiedzie.

Doktór obawiał się, czy aby nie będzie ich czuć rybim tłuszczem, jak wogóle morską zwierzynę, i jak się okazało, obawy te uczonego nie były płonne, ale podróżni, spragnieni nowości w jedzeniu, pałaszowali to oryginalne w swoim rodzaju pieczyste, aż miło.

Po paru dniach pogoda poprawiła się o tyle, że można było płynąć dalej. Wprawdzie i teraz wichura miotała statkiem, że aż wszystkie wiązania trzeszczały, jednak można się już było posuwać

naprzód. Temperatura opadała coraz niżej i nocami termometry wskazywały około 57 stopni mrozu.

Hatteras obawiał się, że może mu wypadnie zatrzymać wyprawę i przezimować. Ale nagle wiatr się zmienił, temperatura podniosła się do zera i znów w sercach dzielnych marynarzy zaświtała nadzieja. Trwało to jednak nie długo, bo znów przycisnęły mrozy.

Lodowce znów skupiały się coraz ciaśniej. Co chwila podróżnikom groziło więzienie wśród ścian gór lodowych. Sam Hatteras zasępiał się i śledził na mapie kierunek drogi. Ale nic dobrego wypatrzeć nie mógł. Okolica morska składała się z cieśnin wązkich,



Białe niedźwiedzie.

które lodowce łatwo zatarasować mogły, zwłaszcza w miejscach węższych. Statek nie żałował pary. Węgla palono bardzo dużo, ale kapitan miał nadzieję, że może uda mu się przed zapadnięciem zimy dosięgnąć Ziemi księcia Walii.

Statek jednak posuwał się tak wolno naprzód, że choć to był czerwiec, obawiano się zimowania wśród tych obszarów bez życia, pokrytych tylko śniegiem i lodem.

Ósmego czerwca, gdy doktór badał położenie geograficzne, zauważył ze zdumieniem, że znajdowano się w sam raz na biegunie magnetycznym ziemi. Aparaty wskazywały 70 stopni 5', 17" szerokości i 96 stopni 46', 45" długości geograficznej. Wybrzeża były niz-

kie i najwyżej na milę od statku oddalone. Postanowiono więc znów się zatrzymać, gdyż kotły wymagały oczyszczenia.

Skierowano się tedy znowu ku lądowi.

— Więc to tu mamy magnetyczny biegun ziemi?... — zawołał doktór, wyskakując pierwszy na brzeg.

— Tak, tutaj?! — zapytał Johnsohn.

— Przecież tu niema żadnych gór, o jakich opowiadano — mówił zdumiony Johnsohn.

— A, niema! — odrzekł uczony.

— Jak pan widzisz, to o przyciąganiu ziemi specyalnie w tem miejscu mowy niema. Podług tego, co nam naiwni ludzie opowiadają, powinno nam było zniknąć z okrętu wszelkie żelaztwo, począwszy od kotwic, skończywszy na gwoździach, któremi są poszczególne części spojone. Powinno nam tutaj nawet sztyfty z butów powyciągać.

Wszyscy obecni śmiać się zaczęli.

— A tymczasem — ciągnął dalej uczony — tymczasem poruszamy się tu tak swobodnie, jak na innych punktach ziemi, a okrętowe żelaztwo jest jak zwykle na swojem miejscu.

— Więc jakże sobie wytłómaczyć? — zaczął znowu Johnsohn.

— Wytłómaczyć?... Bo ja wiem — odparł uczony. — Jeszcze nasza nauka nie zdołała odkryć tej tajemnicy, jak i wielu innych, które nam się przejawiają w zjawiskach natury. Na czem polega istota magnetycznego przyciągania, nic pewnego nie wiemy. To tylko można powiedzieć z matematyczną ścisłością, że biegun magnetyczny znajduje się tu właśnie, na tem miejscu, gdzie teraz jesteśmy.

— Szczęśliwy byłby nasz kapitan, gdyby coś podobnego mógł powiedzieć o biegunie Północnym... — szepnął Johnson.

— Nie bój się, Johnsonie, przyjdzie ta chwila, przyjdzie! — odrzekł doktór.

— Daj, Boże! — westchnął porucznik.

Rozejrzawszy się po okolicy, która była głucha i śpiąca, wrócono na pokład.

Obława na wieloryba.

— Towarzysze! — mówił razu pewnego Hatteras do zgromadzonej załogi. — Chciałbym, abyście ani na chwilę nie zapominali o zadaniu, jakie dzięki losowi przypadło wam w udziale.

Wyprawa nasza ma na celu nietylko mój kaprys, chęć zaspokojenia ambicyi, ale przedewszystkiem honor naszej ojczyzny! Anglikami jesteśmy! Więc nie zapominajmy o tem. Bądźmy wytrwali i mężni, jak przystało na synów Anglii!

Nauka jest drogą, stąpać winniśmy ku wyżynom doskonałości. Bóg dał nam rozum, byśmy mogli poznawać siebie i to, co nas otacza, naturę. Tam, dokąd my zmierzamy, nikt jeszcze nie dosięgnął. Mamy być pierwsi i być musimy. Wyminęliśmy już wiele niebezpieczeństw, ale grozi nam ich jeszcze wiele, tego ukrywać nie mogę; sami zresztą widzicie, że lodowce mogą nas zmusić do przerwania podróży... Zwyciężyć to wszystko musimy! Nie traćmy tylko wytrwałości i odwagi!

Sam kapitan był wzorem na swoim okręcie. W ściśle oznaczonych godzinach pracował, odpoczywał, a po obiedzie rozgrywał z doktorem partyę szachów.

Załoga trzymała się jak dotąd dzielnie. Majtkowie nietylko że wzorowa spełniali swe obowiązki, ale okazywali również dużo zainteresowania się zjawiskami natury, okolicą, położeniem, w którem okręt znajdował się. Wypytywali o każdą rzecz doktora, a poczciwy uczony zawsze miał cierpliwość, by nieoświeconym w sposób przystępny wyjaśniać niezrozumiałe dla nich zjawiska.

Często napotykano na drodze psy morskie, foki, a raz nawet na szerszem miejscu zauważono w oddali króla wód północnych — wieloryba. Zwierzę to staje się coraz rzadszem, nawet w stronach północnych, gdyż corocznie dziesiątki statków myśliwskich tępią ich mnóstwo.

Wieloryb należy do grupy zwierząt ssących, gdyż swe małe karmi mlekiem. Nie jest więc rybą, jak dawniej mylnie sądzono. Wieloryb posiada grube warstwy tłuszczu, który przetapiają na tran, zaś z zębów wycinają powszechnie znane fiszbiny. Dla tych dwóch rzeczy giną setki tych zwierząt.

Hatterasowi przyszło na myśl, aby również zapolować o ile się odpowiednia sposobność nadarzy.

Upłynęło kilka dni. Statek ciągle jeszcze posuwał się i kapitan nie tracił nadziei, że może mu się uda szczęśliwie na szerszą wodę wypłynąć. I istotnie, gdy wpłynięto do cieśniny Melville, statek mógł posuwać się prędzej.

Cechą charakterystyczną mórz północnych są częste zmiany wiatru, które w bardziej otwartych miejscach dotkliwiej dają się odczuwać. Wskutek tego burza morska jest tem zjawiskiem nierzadkiem.

Razu pewnego, gdy doktór rozglądał się po okolicy, zauważył gromadzące się na horyzoncie chmury. Pobiegł do kapitana, który już wydawał odpowiednie rozkazy na wypadek burzy. I istotnie wcześniej, niż się tego można było spodziewać, rozpoczęła się ulewa zmięszana ze śniegiem. Wichura rozkołysała fale do niebywałej wysokości. Wielkie lodowce z hukiem zderzały się, rozbijając na kawałki. „Naprzód“ wyglądał w porównaniu z tem wszystkiem jak dziecinna zabawka, którą fale miotały, jak orzechową łupiną.

Doktór był zachwycony. Pierwszy raz w życiu miał możność obserwowania tak groźnego i wspaniałego zarazem zjawiska. To też przez cały czas nawałnicy stał na pokładzie, przyglądając się, jak statek wyrzucany przez fale w górę, ukazuje od czasu do czasu śrubę, obracającą się w powietrzu.

Majtkowie namawiali go, by udał się do kajuty — daremnie jednak, zdawało się, że walka rozhukanych żywiołów sprawia mu niesłychaną przyjemność.

— Wspaniałe zjawisko, poruczniku — mówił do Wall'a — dalibóg wspaniałe! Niewymownie się cieszę, że wreszcie mogę ujrzeć na własne oczy takie rzeczy! Patrz, pan! Jakby nas tamte dwie góry wzięły w swój przyjacielski uścisk, to starłyby nas na masę! Nie prawdaż? Dalibóg prawda! Ale nie zetrą, zapewniam pana!

Zacny doktór potrzebował wywnętrzyć się przed kimś ze swych uczuć, jakie w nim groza burzy morskiej wzbudziła. To też choć Wall myślał zupełnie o czem innem, doktór kilkakrotnie zapewniał go, że lodowce statku nie zgniotą. Dopiero, gdy deszcz przestał padać i wiatr uspokoił się, Clawbonny udał się do kajuty na spoczynek.

Morze było w tych miejscach przecudne. Woda prawie wolna od kry mieniła się, przechodząc z barwy granatowej w oliwkowo-zieloną.

Pewnego dnia, gdy Clawbonny rozkoszował się widokiem, podbiegł ku niemu harpuniarz Simpson z zapytaniem, co doktór sądzi o zmianach barwy wód.

— Myślę, że kolor wody zależy od gatunku i ilości zamieszkujących ją żyjątek. Naprzykład wody zielone zamieszkują miliardy żyjątek, przeważnie meduz, wonczas, gdy w wodach niebieskich znajdujemy ich stosunkowo niewiele.

— O, panie doktorze! z tego koloru wody ja co innego, jako rybak, mogę wywnioskować...

— Cóż takiego? — zapytał ciekawie uczony.

— Żebyśmy tak nie jechali do tego bieguna, tylko polowali, to by nam się tu zaraz nadarzyła gratka...

Doktór słuchał z zaciekawieniem.

— Widzi pan — ciągnął dalej Simpson — w takich zielonkawych wodach spotyka się dużo wielorybów, ja, jako fachowiec, znam się na tem.

— Ale dotychczas jakoś nam się nie nawinęły — zauważył doktór.



Wieloryby.

— Zobaczy pan, że jeszcze na nie natrafimy niejednokrotnie!— zapewniał stary harpaniarz.

— W zielonkawych wodach — ciągnął dalej — znajdują one dużo pożywienia.

Nie skończył jeszcze Simpson swoich wywodów, gdy w niewielkiej odległości od statku ukazało się coś, podobnego do kadłuba przewróconego do góry dnem okrętu.

— Widzi pan, widzi! — krzyknął uszczęśliwiony, wskazując palcem.

— Wieloryb! — zawołał doktór.—Dzięki Ci, Boże! wreszcie zobaczę to wspaniałe zwierzę w całej okazałości.

Wiadomość o pojawieniu się wieloryba rozniosła się lotem błyskawicy po statku.

— O, znikł gdzieś! Nie widać go już! — zawołał żałosny głosem Clawbonny.

— Niech się pan nie boi, znajdziemy go, znajdziemy! — uspokajał Simpson.

Ku ogólnej radości Hatteras zezwolił na polowanie i tak zwane wielorybie czółno znalazło się wkrótce na wodzie. Czterech majtków zajęło miejsce przy wiosłach. Johnson ujął ster, a Simpson z harpunem w ręce stanął na prodzie. Nikogo to nie zdziwi, jeżeli dodam, iż doktór przyłączył się do wyprawy.

Morze było dosyć spokojne. Czółno ruszyło odrazu szybko z miejsca i po upływie dziesięciu minut okręt pozostał w milowej odległości. Wieloryb wkrótce wypłynął na powierzchnię, by zaczerpnąć powietrza. Nozdrzami wyrzucił strumienie wody i pary. Pierwszy spostrzegł go Simpson.

— O, jest tam, jest! pośpieszajmy!

Szalupa pomknęła prędzej, a statek wolno podjeżdżał za nią z tyłu. Potworne zwierzę, nie przeczuwając niebezpieczeństwa, igrało na fali, wyrzucając do góry słupy wody. Gdy się odwrócił plecami, przypominał występującą nad powierzchnię wody skałę podwodną.

Wieloryb nie pływa prędko, chyba wtedy, kiedy jest prześladowany; to też nie kosztowało myśliwych wiele trudu podpłynięcie bliżej. Ostrożnie zbliżano się. Wieloryb mógł liczyć ze 300 stóp długości, często jednak, jak zapewniał Simpson spotkać można w tych okolicach okazy długości 450 — 480 stóp.

Jeden z rybaków opowiadał mu nawet, że dawniej zabito wieloryba długiego 700 stóp. Nie bardzo temu jednak dawano wiarę. Wkrótce szalupa znalazła się tuż przy potworze. Simpson z niezwykłą zręcznością zamachnął się i cisnął harpunem. Długie ostrze, opatrzone licznemi zębami, wbiło się głęboko w grubą warstwę tłuszczu. Raniony wieloryb rzucił nagle głową do góry, a następnie zakręcił się i schował pod wodą. Marynarze silnie ujęli wiosła. Pocisk, którym wieloryba raniono, przywiązano na długiej linie. Koniec liny umocowuje się silnie na przodzie łodzi. Wieloryb wówczas nie może zginąć. Linę, stosownie do potrzeby nawija się na kołowrót, aby się nie poplątała. W miarę tego, jak szalupa

nie może za ranionem zwierzęciem nadążyć, trzymający harpun popuszcza liny.

Wieloryb puścił się bardzo szybko w bok od statku, w kierunku kilku pływających lodowców. Pół godziny trwała szalona jazda. Johnson musiał zręcznie manewrować, aby zwierzę gwałtownemi ruchami nie wywróciło szalupy. Kołowrót z liną musiano polać wodą, gdyż była zupełnie gorąca od ciągłego tarcia. Gdy tylko zwierzę zwalniało biegu, linę zaraz starannie zwijano. Wieloryb wkrótce wynurzył się znowu na powierzchnię, bijąc wodę potwornie wielkim ogonem. Powstawały z tego istne trąby morskie, które rzęsistym deszczem spadały na szalupę. Mimo to podpływano coraz bliżej. Simpson ujął długą i mocną lancę, by teraz rozpocząć walkę na dobre „pierś o pierś“, gdy wtem potwór wpłynął między dwie blizko siebie znajdujące się góry lodowe, jak gdyby tam szukając opieki i schronienia.

I istotnie, byłoby rzeczą bardzo ryzykowną wpływać między lodowce, zwłaszcza w takiem towarzystwie.

— A, bodajże go! — krzyknął Simpson. Naprzód, dalej naprzód! — zachęcał, niepomny na niebezpieczeństwo. Wieloryb już nasz!

Ale roztropniejsze głosy radziły poczekać.

— Między dwie góry wpływać nie można!—zadecydował Johnson, zatrzymując łódź.

— Ależ, proszę pana! — próbował oponować Simpson.

— Nie, nie można! — odrzekł porucznik.

Głosy rozdzieliły się. Bardziej zapaleni radzili stoczyć ostateczną walkę, nie tracąc czasu, rozważniejsi radzili poczekać!

Gdy się kłócono, wiatr napędzał lodowce tak, że starcie było nieuchronne. Myśliwym, których wieloryb ciągnął za sobą, groziło wielkie niebezpieczeństwo. Nie było minuty czasu do stracenia. Johnson, nie tracąc przytomności, porwał za topór i przeciął linę. Czas był najwyższy, gdyż oto lodowce prawie w tej chwili uderzyły o siebie, przygniatając swoim ciężarem nieszczęśliwe zwierzę. Zdobycz była stracona, ale mogło być i gorzej. Wieloryb padł ofiarą wypadku. Tego rodzaju zdarzenia bywają częste. Czasem i myśliwi padają ofiarą.

Simpson opowiadał później, że w jednym roku naliczono aż 30 takich nieszczęśliwych wypadków. Między innymi, skały zmiażdżyły trzymasztowy statek, który wpłynął między góry lodowe, by wyciągnąć zdobycz.

Z nietęgiemi minami powracano na pokład. Jeden tylko doktór był zadowolony, że miał możność uczestniczyć w takiej niebezpiecznej wyprawie. Dla takiego widowiska, mówili warto karku nadstawić.

— Mamy przestrogę, jak należy takich sytuacyi unikać! — krzyczał Shandon.

Simpson tylko był niepocieszony.

(D. c. n.)

Marcin Kopiec.

Z HISTORYI ŚLĄSKA.

Walka z luteranizmem.

Ciąg 9.

OO. Dominikanie i proboszczowie wrocławscy.—Biskupi Nanker i Przecisław.—Margrabia Karol.—Kawalerowie Maltańscy.—Templaryusze.—Beguini.—Beghardy.—Biczownicy.

Święty Czesław, za swego życia dużo zasług miastu oddał i ludzkości wiele dobrego wyświadczył;—zdawałoby się, że przez te zasługi OO. Dominikanie już nietylko spokojnie w przyszłość spoglądać, ale i spokojnie rozwijać się będą mogli. Tymczasem stało się inaczej.

Po śmierci świętego swojego przewodnika, nastały dla OO. Dominikanów prawdziwie ciężkie czasy — czasy prześladowań, wywołane przez kapłanów świeckich.

Biskup Wawrzyniec — jak wyżej wzmiankowaliśmy — przeniósł prawa parafialne z kościoła świętego Wojciecha, należącego do OO. Dominikanów do kościoła świętej Maryi Magdaleny — lecz wypełnianie obrządków kościelnych, które niemały dochód OO. Dominikanom przynosiły, — pozostawił na miejscu. To się proboszczom wrocławskim nie podobało. W owym czasie Wrocław był po-

dzielony na trzy parafie: 1) świętej Elżbiety, z proboszczem Hermanem; 2) świętego Ducha, z proboszczem Krystynem i 3) świętego Mikołaja, z proboszczem Janem. Ci to trzej proboszczowie wrocławscy rozpoczęli zaciętą walkę przeciw OO. Dominikanom, której nawet biskup Wawrzyniec nie był w stanie zapobiedz.

Następujące przepisy wydane wyłącznie dla zakonu OO. Dominikanów w Wrocławiu, wykazują nam dosadnie, jak dalece sięgała nienawiść trzech proboszczów wrocławskich ku temu cichemu zakonowi, składającemu się z samych mężów uczonych, których rozgłos na wszystkie strony z szybkością szerzył się po świecie. I tak:

1. Zmusza się OO. Dominikanów do przystępowania do spowiedzi i do stołu Pańskiego w jednej z parafii miejscowych.

2. Zabrania się wystawienia Przenajświętszego Sakramentu.

3. Zabrania się zmarłych mnichów grzebać na ich dawnym cmentarzu, a wrazie, gdyby niektóry z braci zakonnych nie chciał być pochowanym na cmentarzu parafialnym, wówczas ciało jego winno być przeniesione wpierw do kościoła parafialnego, dla odprawienia odpowiednich ceremonii za zmarłych.

4) Dzwonić w kościele klasztornym niewolno, nowopoświęconego cmentarzu zakładać niewolno, a mszę świętą mogą odprawiać wówczas, gdy na to od proboszczów pozwolenie uzyskają.

5. Określa się liczbę mnichów, kleryków i braciszków, a także określa się ilość lamp gorejących i świec woskowych, nadto niedopałki świec woskowych należy oddać kościołowi parafialnemu.

6. Każdy nowowyświęcony kapłan z klasztoru OO. Dominikanów winien prymicyę swoją odprawić w jednym z kościołów parafialnych i zobowiązać się, ażeby wszelkie, na msze święte wpływające ofiary doręczał kościołowi parafialnemu.

7. Co się tyczy dziesięciny z ogrodów i czynszu z domów, to takowe OO. Dominikanie płacić muszą tak samo, jak płacą żydzi wrocławscy.

W zakończeniu następuje groźba, że wrazie niestosowania się do tychże przepisów, klasztór oddany będzie pod śledztwo, co spowodować może całkowite wygnanie mnichów Dominikanów z Wrocławia i ściągnięcie klątwy na wszelkich dobrodziejów klasztoru.

Lecz to jeszcze nie wszystko. Proboszczowie wrocławscy posunęli swoje wymagania jeszcze dalej. Zapowiedzieli bowiem OO. Dominikanom, że odtąd oni sami dla siebie dogodnych przeorów wybierać będą.

Wskutek tego niesłychanego prześladowania i ucisku ze strony proboszczów wrocławskich, OO. Dominikanie wnieśli zażalenie

do Stolicy Apostolskiej, lecz niestety, bulle papieskie Innocentego IV, Aleksandra IV i Klemensa V nie odniosły pożądanego skutku. Proboszczowie w dalszym ciągu i z większą jeszcze zaciekłością prowadzili niesumienną i bezwzględną agitacyę przeciw OO. Dominikanom. Zabronili ludowi uczęszczać na nabożeństwa, spowiedź ogłosili za nieważną, a służbie klasztornej, tak wielce do swoich kapłanów przywiązanej — i tej — oprócz spowiedzi i komunii świętej zakazano przyjmować przed śmiercią ostatnie oleje święte. [1])

Bezprzykładna, a raczej niesłychana w dziejach Śląska walka pomiędzy klerem świeckim a ojcami Dominikanami, którą cytujemy, nie została rozstrzygniętą — lecz, jak piszą kroniki — zbiegiem długich lat została uśpioną. Istotnie były też to długie lata, bo trwały od roku 1242, to jest od śmierci świętego Czesława aż do roku 1330. W tym to roku znalazł się we Wrocławiu zamożny mieszczanin, imieniem Mikołaj Słup, ofiarujacy cały swój majątek na restauracyę i odbudowanie kościoła i klasztoru OO. Dominikanów, które po doprowadzeniu do dawnej swej świetności, Nanker, ówczesny biskup wrocławski na nowo konsekrował.

Jakkolwiek kroniki wrocławskie nie podają bliższych szczegółów o losach tegoż klasztoru do roku 1330, to jednak z powyższych wydarzeń wywnioskować możemy, że OO. Dominikanie wskutek tych długotrwałych prześladowań ze strony proboszczów wrocławskich podupadli, zubożeli; że ograbieni zostali ze wszystkich dochodów, że dziesięciny z ogrodów, a czynsz z domów, jak żydzi płacić musieli... i to było przyczyną, że wciągu tych długich lat, nie mając dochodów, klasztoru ani kościoła odrestaurować nie mogli.

Proboszczowie wrocławscy odnieśli w tej długoletniej walce, nad ubogiemi Dominikanami zupełne zwycięstwo, a walka ta była prawdziwie długotrwałą, skoro OO. Dominikanie aż trzy skargi, trzy zażalenia, trzy prośby o pomoc i ratunek wnosili do Stolicy Apostolskiej, do trzech, po sobie, zasiadających na tronie papieży.

Biskup Nanker i Mikołaj Słup, to dwaj głośni mężowie owego czasu, co w historyi polityki wrocławskiej pamięć po sobie zostawili. Nieustraszony biskup Nanker, któremu Jan, król czeski, zamek „Milicz“ pod Wrocławiem przemocą zabrał, w dniu 6 maja 1342 roku, w kościele świętego Jakóba rzucił klątwę na króla. Był to dzień wielkiej doniosłości, albowiem w tymże dniu nastąpił rozbrat pomiędzy władzą świecką a duchową. Król Jan, mszcząc się na bisku-

[1]) Almanach sämmtlicher Klöster in Schlesien str. 327.

pie, konfiskował wszelkie majątki duchowne. Za przykładem króla, poszli Wrocławianie...

Rozjątrzone stosunki pomiędzy duchowieństwem a władzą świecką stawały się z każdym dniem groźniejsze i doprowadziły w końcu do tego, że biskup Nanker wraz z duchowieństwem przenieść się musiał do Nissy. [1]) Waśń ta trwała do końca życia biskupa Nankera, dopiero po jego śmierci, gdy na stolicy biskupiej zasiadł Przecisław, stosunki się zmieniły. Biskup Przecisław, widząc iż długotrwająca excomunica króla Jana przynosi uszczerbek w beneficyach duchownych, wyciągnął rękę do pojednania się z królem, co też za pośrednictwem margrabiego Karola, syna królewskiego, oraz i następcy tronu, uskutecznionem zostało. Pogodzono się. Jednakże rada miejska wrocławska, jako słabsza w tym konflikcie musiała za wszystko odpokutować. Margrabia Karol udał się zatem do biskupa Przecisława, rezydującego w Nissie, tam, gdzie poprzednik jego, Nanker, stolicę biskupią był przeniósł. Z Nissy uroczyście przeprowadził biskupa Przecisława do Wrocławia. Następnie do kościoła świętego Jakóba, w którym nieżyjący biskup Nanker klątwę na jego ojca rzucił. Była to wspaniała uroczystość. Wprowadzenie biskupa napowrót do Wrocławia przez syna królewskiego, stanowiło dla duchowieństwa niejako satysfakcyę. Większego zadośćuczynienia król Jan nie mógł duchowieństwu oddać.

Po tejże uroczystości przyszła kolej na Wrocław i jego Radę miejską, która, jak to później zobaczymy, przeciw biskupowi Nankerowi i całemu duchowieństwu wielce zawiniła.

Gdy biskup Nanker objął stolicę biskupią we Wrocławiu (1327), walka pomiędzy władzą świecką a duchowieństwem trwała w całej pełni. Z tej walki korzystały wszystkie męty społeczne. Malkotenci, kacerze, odszczepieńcy, sekciarze — wszystko to się garnęło do Wrocławia, pod skrzydła opiekuńcze zbuntowanych konsulów, mieszczan, a przeważnie motłochu.

Niedobitki *templaryuszów*, tępionych bezlitośnie ogniem i mieczem we Francyi przez króla Filipa Pięknego, znalazły u Wrocławian przytułek i opiekę. Pozwolono im nawet po za miastem kościół pod wezwaniem S. S. Corporis Christi wybudować, który w roku 1404 przeszedł na własność Kawalerów Maltańskich. Komando-

---

[1]) Nanker, herbu Oksza, biskup krakowski, a później wrocławski, rodem Ślązak z ziemi opolskiej, † w Nissie 1341 r. (Data śmierci niepewna — kroniki wrocławskie cytują, że w roku 1342 rzucił klątwę na króla Jana w kościele świętego Jakóba w Wrocławiu). (Przyp. Autora).

rya tegoż zakonu zaciągnęła u cesarza pożyczkę. Cesarz przelał dług na magistrat, a tenże komandoryę wraz z kościołem wypuszczał w zastaw, nie dłużej, jak na lat 12. Wypuszczano ją 12 razy po 12 lat = 144 lat, czyli do roku 1548, to jest do czasu, w którym ją ostatni posiedziciel, hrabia Ferdynand Kołowrot-Libsztański, od magistratu na własność wykupił.

Oto, co pisze kronika wrocławska o zastawie Komandoryi Maltańskiej:

„Kościół S. S. Corporis Christi, należący 144 lat do zakonu Kawalerów Maltańskich stał w pobliżu bramy Świdnickiej do roku 1548. W tymże roku wdzierający się do Wrocławia luteranizm zawładnął kościołem, oderwawszy go od zakonu rycerskiego. Magistrat wrocławski, tolerujący luteranizm, zagarnął Komandoryę, konfiskując w drodze zastawu wszelkie do niej należące majątki, a w końcu całe duchowieństwo zamieszkałe przy tymże kościele, powyganiał.“

Naturalnie, iż taki przykład ze strony magistratu, mógł tylko luteran pobudzić do większego jeszcze zuchwalstwa, co się też i stało: „Dom Boży zrabowano i zamieniono na jaskinię zbójców, ołtarze porąbano, obrazy i posągi świętych Pańskich powyrzucano, organy, będące jeszcze w dobrym stanie, powyrywano i pomiędzy pospólstwo dla zabawki wrzucono, przepiękną prastarą bibliotekę rozkradziono, drogocenne stare ornaty wystawiono na pośmiewisko i urągowisko. W ten sposób pospólstwo luterańskie zniszczyło ten przepiękny Dom Boży, należący przez 144 lat do Kawalerów Maltańskich.

Nic w nim nie pozostało, oprócz gołych murów i dachu. Aby zaś dokonać ostatecznego zniszczenia, magistrat wrocławski rozdzielił budynek na dwie połowy. Jedną połowę obrócił na magazyn solny, a drugą na stajnię dla koni miejskich. A że magistrat nie dbał o naprawienie okien, zniszczonych murów i dziurawego dachu, przeto cały gmach groził zawaleniem, co też wnet nastąpiło. Zawaliło się sklepienie, runęło presbiteryum, a rumowisko nakryło dach, który rozkradziono... i po świątyni Pańskiej nic nie pozostało, oprócz kupy gruzów, obrosłych trawą i chrustem...

A jednakże — pisze dalej kronika wrocławska — Bóg sprawiedliwy rozbudził ducha w drugim Szymonie, o którym mędrce kaznodzieje głoszą:

„Za żywota jego wspierałem domy —
Za dni jego umacniałem świątynie“.

Słowa te przypisuję Wielebnemu i Jaśnie Wielmożnemu Panu — Panu Ferdynandowi Kołowrot-Libsztańskiemu, hrabiemu Rzymu świętego, kawalerowi S. Hierosolymitani Joannis, wielkiemu przeorowi

Czech, Morawii, Śląska, Austryi i Polski, który w żarliwości swojej dla chwały Bożej i w szerzeniu religii rzymsko-katolickiej, rzeczoną Komandoryę wraz z kościołem S. S. Corporis Christi na gruzach chwastem i chróstem zarosłych, zwalczając kolczaste przeszkody z wielkiemi kosztami na nowo odbudował.

Działo się to za chwalebnego panowania Leopolda I, cesarza rzymskiego i za rządów jego wielebności wrocławskiego biskupa Francisci, świętego Rzymu książęcia, przewodnika zakonu Teutońskiego, który ją z pomocą Bożą z rąk sromotnych pogwałcicieli wykupił."

Oprócz templaryuszów, o których powyżej mowa, znaleźli we Wrocławiu schronienie i opiekę *Beguini, Beghardy i Biczownicy*. Sekta Beguinów, istniejąca od r. 1184, a Beghardów od r. 1215, pomimo doznawanych prześladowań ze strony inkwizycyi świętej, przetrwały jednak do końca XVIII wieku. W pierwszej połowie XIV wieku, to jest za rządów biskupa Nankera, Zgromadzenie to popierane i ochraniane przez Wrocławian i konsulów miasta, rozkrzewiło się w zastraszający sposób. Biskup Nanker, widząc upadek moralny ludności, widząc, jak kacerze naigrawają się z duchowieństwa i jego sądu duchownego do spraw wiary (inkwizycyi świętej) rzucił klątwę na Wrocław i jego konsulów — a opuściwszy Wrocław, zamieszkał wraz ze swojem duchowieństwem w Nissie. Dopiero w roku 1371 cesarz Karol wydał rozkaz tępienia wszelkiego kacerstwa. Pozabierał im domy. Jedną część tychże domów z rozkazu sądu duchownego do spraw wiary, zamieniono na więzienie dla nich. Drugą część sprzedano na koszta inkwizycyjne. Kapitał, uzyskany ze sprzedaży trzeciej części domów, podzielono również na trzy części: jedną otrzymali inkwizytorowie, drugą biedni, a trzecią izba skarbowa.

Biczownicy czyli stowarzyszenie pokutników, powstało we Włoszech w XIII wieku, a początek dał im mnich pustelnik Rajner z Perugii. Rozeszli się po całej zachodniej Europie i publicznie biczowali obnażone ciało. We Wrocławiu spotykamy ich za rządów biskupa Nankera.

I ta sekta pod opiekuńczemi skrzydłami konsulów wrocławskich znalazła tamże licznych zwolenników, zwłaszcza, iż przewodnikiem tejże sekty biczowników wrocławskich był Ślązak, rodem z Wrocławia. [1])

---

[1]) Kronika wrocławska nazwiska nie wymienia.

Gdy ugoda pomiędzy królem Janem a biskupem Przecisławem nastąpiła, gdy w kościele świętego Jakóba zdjęto klątwę z króla, a stolicę biskupią z powrotem przeniesiono z Nissy do Wrocławia, władza inkwizycyjna zabrała się do tępienia biczowników, czyli jak kronika nazywa „sekciarskiej czeredy“, która pod nazwą „braci krzyżowych“ przeciągała po Europie od miasta do miasta, biczując się wzajemnie.

Przewodnika pochwycono i w roku 1349 we Wrocławiu, jako jego rodzinnem mieście, żywcem spalono.

Bolesław I, książę ziemi świdnicko-jaworznickiej, wprowadza OO. Dominikanów do Świdnicy. — Jan Schönaich, proboszcz świdnicki. — O. Mikołaj Kraweczko, przeor Dominikanów świdnickich.

Za przykładem proboszczów wrocławskich, o których powyżej pisaliśmy, poszli proboszczowie innych miast śląskich. Prześladowanie zatem OO. Dominikanów przez duchowieństwo świeckie, ugruntowało się przeważnie tam, gdzie ci światli, uczeni i bogobojni mnisi działalność swoją podług wskazówek świętego Czesława rozszerzali. Jednem z takich miast była Świdnica. Do Świdnicy wprowadził OO. Dominikanów Bolesław I, książę ziemi świdnickiej i Jaworznickiej około roku 1277, dając im za mieszkanie domek po za miastem, oraz i dwie włóki ziemi na wyżywienie.

Lud gromadził się naokoło tych światłych, bogobojnych i czcigodnych mężów, którzy słowem Bożem, głoszonem z ambon potrafili pociągnąć go za sobą i przywiązać do siebie. Książę Bolesław I, widząc postęp w moralności u swoich poddanych, sam ojców umiłował. Chciał ich zatem mieć bliżej siebie. W tym celu zbudował im w mieście wspaniały kościół i klasztór pod wezwaniem świętego Krzyża, a do budowy tej przyłączyli się jeszcze dwaj bogaci mieszczanie, których nazwiska historya Śląska przechowała w pamięci. Jeden z nich, Andrzej Fogiel, na własny koszt wybudował chór; drugi, Jerzy Tencz, wybudował presbyteryum. Wprowadzenie OO. Dominikanów ze starej siedziby do nowej odbyło się w czasie solennej uroczystości, w dzień Bożego ciała 1311 roku.

Ówczesny proboszcz świdnicki, Jan Schönaich, spostrzegłszy, iż parafianie jego, zaniedbując kościół farny, garną się do kościoła OO. Dominikanów — zrazu niechętnym wzrokiem spoglądał na sąsiedni klasztór i w nim zamieszkałych mnichów. Lecz gdy miesz-

czanie rozpoczęli zakupywać przy kościele świętego Krzyża miejsca na wieczny spoczynek dla siebie, wówczas proboszcz Schönaich energicznie zaprotestował.

Najprzód rozpoczął zgryźliwy zatarg z przeorem konwentu, Mikołajem Kraweczką, a następnie rozpoczął formalną walkę z całym konwentem. Zarzucał im, że nie mieli prawa wprowadzenia i osiedlenia się w Świdnicy.

— Któż was tu wprowadził? Kto wam dał na to zezwolenie? — wołał i krzyczał na wszystkie strony wraz z kapelanami swego okręgu.

Widzimy jednakże z całego postępowania proboszcza Schönajcha, że był w zmowie z proboszczami wrocławskiemi. Wydał im bowiem takież same przepisy, jakie wydał proboszcz kościoła świętej Magdaleny swoim Dominikanom. Zabraniał parafianom uczęszczania na nabożeństwa i kazania. Zmuszał ich do płacenia haraczu — słowem, te same czynił wymagania, co proboszcz wrocławski.

Przyszło wreszcie do porozumienia się z krzywdą dla konwentu. OO. Dominikanie musieli płacić proboszczowi świdnickiemu haracz 50 marek rocznie, a oprócz tego zobowiązać się musieli, że dopóki przeor Mikołaj Kraweczko żyć będzie — tenże winien regularnie posyłać dwóch Ojców do kościoła farnego dla głoszenia kazań, słuchania spowiedzi i odprawiania mszy świętej.

Ciężko było OO. Dominikanom żyć w takich warunkach. Nie pomogły ani utyskiwania, ani biadania — cierpieli — i cierpliwie też dźwigali ten ciężar, jaki proboszcz świdnicki na ich barki nałożył.

Gdy Bolesław II objął rządy ziemi świdnickiej, OO. Dominikanie doznali od niego większej wolności, (1335). Pozwolił im klasztor i kościół urządzić podług swego upodobania, pozwolił im siedzibę swoją otoczyć murem (1356) i zwolnił ich od wszelkich czynszów, podatków i haraczu.

Oprócz powyższych łask, Bolesław II pozwolił im jeszcze powiększyć swój folwark przez dokupienie kilku włók ziemi, kasując czynsz i wszelkie podatki przynależne miastu. Tu książę Bolesław położył warunek, który brzmi: „jeżeliby konwent, tenże folwark sprzedać zechciał, to nowonabywca traci niniejsze przywileje, a zobowiązany będzie wszelkie podatki, tak jak wszyscy inni posiedziciele, wnosić do kasy magistratu miasta Świdnicy.“

Według istniejących piśmiennych wiadomości OO. Dominikanie świdniccy byli zmuszeni opuścić trzy razy swoją siedzibę.

Po raz pierwszy w roku 1484; przyczyna nie podana, nieoznaczono także i czasu powrotu.

Po raz drugi opuścili swoją siedzibę w roku 1632, gdy ziemia świdnicka przeszła pod protektoryat sasko-brandeburski.

Po raz trzeci w roku 1642, gdy Szwedzi, zająwszy Świdnicę, klasztor przerobili na fortecę.

Dwa lata Świdnica wraz z klasztorem-fortecą była w okupacyi szwedzkiej. Dopiero w roku 1644, gdy Szwedzi odstąpili, powrócili OO. Dominikanie. Ciężka to była praca, zrujnowany przez Szwedów klasztor przyprowadzić do pierwotnego stanu, ale ofiary z pomocą Bożą składane przez litościwych mieszczan, którzy podczas dwuletniej okupacyi doznali wiele złego od Szwedów, przyniły się do tego. Dochody klasztorne były nader skromne, składały się przeważnie z dobroczynnych ofiar. Dzierżawa przez mieszczan folwarku przynosiła im rocznego dochodu 34 talarów 7 czeskich i 6 fenigów; cech karczmarzy płacił klasztorowi 375 talarów rocznie, tak zwane piwne, z wywaru piwa w browarze, należącym do kościoła świętego Krzyża.

Odtąd też OO. Dominikanie prowadzili już spokojniejsze życie. Wprawdzie podczas oblężenia Świdnicy w czasie siedmioletniej wojny konwent, klasztor i kościół wiele ucierpiały, ale i te cierpienia OO. Dominikanie z pokorą przetrwali. Prawdziwie błogosławiony żywot rozpoczęli OO. Dominikanie dopiero z dniem 1 maja 1777 r., albowiem po zniesieniu kolegium Jezuickiego za papieża Klemensa XIV, bullą sekularyzacyjną z dnia 21 lipca 1773 r. i za panowania Fryderyka II, OO. Dominikanie świdniccy objęli w tymże dniu 1 maja 1777 r. wychowanie młodzieży, które im Rząd pruski za staraniem mieszczan świdnickich powierzył. [1])

Wszystkie niemal klasztory dominikańskie w Śląsku były ubogie i ubogo uposażone. Ojcowie żyli przeważnie z dobroczynnych ofiar szczodrych chrześcijan. Lecz gdy w dolnym i średnim Śląsku luteranizm w nowszych czasach rozszerzać się począł — nieżyczliwość ludności dla klasztorów i zakonów z każdym dniem wzrastała, ofiary malały, a liczba wiernych zmniejszała się.

Klasztory śląskie, leżące w pasie granicznym pomiędzy górami olbrzymiemi a Czechami, nie doczekały się ogólnej sekularyzacyi klasztorów na Śląsku w roku 1810. Dla braku wyznawców religii katolickiej już wcześniej je pozamykano.

Klasztor OO. Dominikanów w Świdnicy liczył w roku 1785 już tylko 4 kapłanów i 3 braciszków. (D. c. n.)

---

[1]) Jezuici osiedlili się w Świdnicy dnia 29 stycznia 1629 r., inne źródła wykazują rok osiedlenia 1630.

Bolesław Biernacki.

KOŚCIUSZKO.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

TOM DRUGI.

I.

Dziwnej urody szeregowy, cale nie męskiej, gasił innych kamratów pilnością w szarżerunku. Nie znał żołnierzyk wypoczynku, jeno wciąż maszerował w takt po majdanie, wykrzykując sam sobie półgłosem komendę:

— Do nogi broń!

— Prezentuj broń!

— Na ramię broń!

— Marsz!

Żołnierzyk przspieszał kroku i dawał sobie komendę:

— Broń do ataku!

Wtedy karabin porywał z ramienia, chwytał mocno prawą ręką pod kurek, a lewą przy ostatnim bączku, przyciskał mocno do siebie.

I znów dawał sobie komendę:

— Nadstawcie bagnety, marsz, marsz!

I wydało mu się, że ma nieprzyjaciela przed sobą, żywiej i śpieszniej nacierał, a uszedłszy kilkadziesiąt kroków, zmierzał się, celował, wypalał. Zdawało się nieraz, że po wystrzale, ptak, jakoby z chmury gromem rażony, z rozpostartemi skrzydłami spadał na majdan.

Z boku przypatrywał się ewolucyom tym stary kapral, stary wyga strzelec, sławny ze strzelby na całą dywizyę i wyciągał czarne kościste ręce do rozpalonego młodego kamrata.

— A niechże cię kule biją, taki synu!... Że ja strzelam, nie dziwota, toć w puszczy pod Ostrołęką rodzona mnie matka rodziła,

a rodzic od małego raka przyuczał kańczukiem twardym, bądź głodem, ażebym prochu ziarna nie marnował. Ale tyś, w Warszawie ponoś urodzony; kto cię ze sztućcem poswatał?

— Za nic miejcie takie strzały, panie kapralu! Ptaka w locie ugodzić — fraszka, jakbyście muchę w garść ucapili — odpowiadał rad z siebie młodziuchny szeregowy. O jedno się troskam i niepokoję, czy potrafię w ogniu, oko w oko z nieprzyjacielem dotrzymać innym kroku. Czy mi ręka nie zadrży, serce nie zabije.

— O rejteradzie myślisz.

— Tak jest.

— Ha, i to potrzebne, jak kiedy. Trza jeno mądrze rejterować wrazie czego — odparł stary kapral.

— Może Bóg nie da! — westchnął młody i po dawnemu wrócił do frontowej pozycyi.

— Ostawże, przez miły Bóg, one ćwiczenia na dzisiaj. Pojrzeć na cię, dziewka, czy kiej dyabeł, człek myśli. Ale kto bacznie popatrzy na twoje sprawy, wnet do tego rozumienia przyjdzie, że najtęższy chłop pracy twojejby nie sprostał. Odetchnij, przysiądź na trepie, wedle mnie, pogadamy.

— Wedle rozkazu!

— Widzisz tedy... Ile masz roków? — zapytał nagle stary kapral głosem surowym. — Zresztą — machnął ręką, co mi do twoich lat! Z gęby nie wyglądasz na więcej, jak na szesnaście, albo osiemnaście... Wszystko jedno, dookoła Bartek, nie o lata twoje chodzi, lecz o moją przeszłość. Chciałem ci tedy rzec, ot, co! Słuchajże pilnie! W twoich leciech rozpocząłem wojowanie nie w byle jakiej partyi — w partyi Antoniego Morawskiego. Był to chłop na schwał, ze szlachcica urodzony godnie, jako inni panowie bracia, lecz że rodzic jego nie wstydał się ożenić się z wdową po rzeźniku, przyjąć prawo miejskie i zostać samemu rzeźnikiem, więc i syn jego, Antoni, także rzeźniczkiem został i ożenił się z panienką z tegoż samego cechu. Otóż ten Morawski Antoni otrzymał jednego razu płazowe uderzenie trzciną od burmistrza, a nie namyślając się długo — odbił trzcinę i wymierzył burmistrzowi policzek, zaczem, nie zwlekając, uszedł w lasy i przystał do konfederacyi barskiej. Wkrótce sam sobie partyę zebrał z tęgich, jak on, zuchów i nuż prażyć począł królewskich. Sam dyabeł z piekła rodem nie potrafiłby takiej krwawej miazgi z ludzi robić, jak to on potrafił. Nie pytał się on ile jest nieprzyjaciela — jeno o to, gdzie jest! Wpadał z kurzawą i grzmotem, jak ten wicher stepowy i rznął najprzedniejsze kolumny dzielnego żołnierza tak gładko

i sprawnie, jak rznie rzeźnik barany. Na dziesięć mil przed nim i za nim trwoga padała, gdzie się pokazał. Hetman Branicki z gniewu drżał, generała Drewicza febra trzęsła na wspomnienie imienia tego człeka. Bywało garść ma tylko ludzi przy sobie, niecałe pół setki, aż tu natyka się na cały regiment nieprzyjacielski! Hura! — zagrzmiał. — Żywcem brać takiego syna! — wołała komenda. Morawski po danym jakim takim odporze przednim strażom nieprzyjaciela, gdy się większa jego siła zwaliła, uszedł w bory, lecz w niespełna godzinę ukazał się na tyłach tego samego regimentu, przejechał się po nim na durch, ścieląc gęstym trupem drogę. Raz zeszli go jedzącego obiad. Nie miał nikogo przy sobie, tylko pistolet na tasaku i szablę przy boku. Usłyszawszy strzelanie i wrzawę na ulicach, wypadł co prędzej z austeryi, do której dobiegał kozak. Strzelił do niego, zwalił z konia, a dosiadłszy sam hyżo tegoż konia, poszedł na przebój z szablą w ręku, aż się złączył ze swoimi.

Zamyślił się stary kapral, pociemniała mu brózda od cięcia pałasza, co biegła wzdłuż dziobatej twarzy i machnął ręką.

— Po co i na co wspominać, co było.

Podniósł się, wyprostował, ręce wyciągnął przed się.

— Oj, Kuźmo, Kuźmo! — twardym głosem szeptał, — bodaj cię zabito! Gdybyś ty był swego czasu dostawił z Marymontu króla do Częstochowy i oddał w ręce Puławskiemu, nie wypatrywalibyśmy dzisiaj fali na Dniestrze, nie liczyli, ile wiader wody się stoczy i nie powtarzali placówka placówce: Jeszcze ich nie widać! Oj, nie widać, nie widać, lecz dziś, jutro ich ujrzycie. A wówczas taka kurzawa wstanie, tyle krwi spłynie — tyle zagród w gruzy padnie, że serce z bólu omdleje, choć żyć będziecie i cierpieć będziecie przez długie, długie roki...

Otrząsł się stary, spostrzegł, że jakaś nieprzystojna żałość chwyciła go za piersi i mdłemi słowy wylała się z uściech.

— Powiadacie, mości kapralu—pochwycił młody szeregowiec — że, jak amen w pacierzu, taniec będzie.

— Oj, będzie... krwawy taniec. Ale dość rzekłem! — znów pohamował się kapral. Ruszaj do kwatery, a mnie czas placówki luzować, słońce zachodzi.

Odszedł. Młody został. Złote, jakby zmieszane z krwią promienie zachodzącego słońca, oblały blaskami swemi młodą twarz szeregowca. Znikła na chwilę z tej twarzy kurzawa zmieszana z potem, a wyłoniło się oblicze, jakby dorodnej dziewki. Popękane od skwaru i wilgoci wargi zaświeciły koralem, rozchyliły się i bły-

skały rzędem drobnych, białych zębów. Zielonym mundurem opięte piersi podnosiły się dziwnie wysoko. Dziwny szeregowy! Czarne oko podniósł na słońce i zagłębił w sobie.

— Jaśku! — myślał. — Jaśku mój! Zostałeś w Połonnem, a mnie aż tutaj pod Mohylów na przednią placówkę wysłali. Myślałem, że przy boku twoim, wraz z tobą walczyć będę i trudy znosić będę. Ordynans kapitana rozwiał, jako wiatr dymy, nadzieje nasze: ja w Serebryi, ty w Połonnem, tatulo i powinowaci w Warszawie.

Zwiesił na piersi głowę młody szeregowy i począł drżeć na całem ciele.

— Okrutna rzecz pomyśleć nawet, jeżeli to prawda, co mi się zdawało. Jeszcze w Lublinie w austeryi, gdyśmy stanęli na noclegu poznałam w jednym z chorążych lekkiego znaku onego porucznika ze straży marszałkowskiej — Malinowskiego. Boże!

Szeregowy postawił sztuciec pod ścianą i rozpaloną głowę opasał rękami. Potem w Połonnem tenże sam chorąży stanął kwaterą u kapitana naszej kompanii. Boże!—jeżeli to on! Jeżeli to za jego sprawą rozerwali nas i naznaczyli mnie na placówkę pierwszej linii w kompanii strzelców, okrutne czekają mnie zdarzenia.

Młody szeregowy zakrył twarz w dłonie, dumał. Tymczasem słońce zaszło. Mrok spadał, cienie wieczorne pokrywały majdan. Na niebie ukazywały się gwiazdy.

Na przeciwnej krawędzi majdanu ze stajni wyszedł oficer jazdy, przybrany w mundur granatowy z ponsowemi wyłogami. Rozejrzał się. Puścił wzrok w stronę, gdzie na ławce siedział młodziuchny szeregowy i żwawym krokiem posunął się naprzód. Szedł ze spuszczoną głową, stąpał lekko, jakby go raził szmer deptanego pod nogami żwiru.

Stanął wreszcie cicho przed szeregowym i czekał. Ten ocknął się, podniósł oczy i krzyknął:

— Wszechmogący Boże! widmo, czy jawa!

— Jawa! — odparł stłumionym głosem oficer. Jawa — dodał. Nie podnoś, waćpani trwogi, bo każę cię za niesubordynacyę przez rózgi przeprowadzić, a wtedy cała kompania zobaczy nagie, śliczne niewieście twoje kształty.

— Zbóju!

— Ach tak, zbój to ja jestem w rzeczy samej mościa pani Zośko Przygoda. Zabawiasz się w żołnierza, jakże zdrowie służy — w ton szyderczy trącał oficer, choć dychał ciężko.

— Czego chcesz!

— Kocham cię po dawnemu i choćby na krańce świata w twoje ślady pójdę, jak cień.

— Poganina bezlitosnego chyba charakter macie. Jakże to! Prawnie poślubiona przez Najświętsze Sakramenta jestem żona, a wy mnie gorzkiemi słowy obrażacie. Biegnijcie na dwór pana marszałka, albo choćby króla jegomości, znajdziecie tam strojnych dziewek, strojnych dam, bogatych we wszelkie wdzięki cielesne, u których dostaniecie wszystko, czego zapragniecie.

Oficer postąpił naprzód, nachylił głowę, wyciągnął przed się ręce, jakby chciał Zośkę objąć ramieniem. Szeregowy uskoczył parę kroków, stanął w pozycyi atakującej, z lewego ramienia przerzucił sztuciec na pogotowie do strzału i krzyknął:

— Ani kroku! przez miły Bóg! zdala ode mnie! Zatracę siebie, lecz przedtem farbę z was wytoczę.

Zatrzymał się oficer, ręce załamał. Pot kroplisty wystąpił mu na twarz, dychał ciężko, a z rozszerzonych źrenic lały się iskry namiętności.

— Lituj się ty nade mną nieszczęsnym! Upór twój rozpalił miast ugasić miłość, jaką rozniecilaś we mnie. Miarkujże, nieszczęsnego, bez mała obranego z rozumu człeka masz przed sobą. Gotów jestem ważyć się na najnikczemniejszy, najbrutalniejszy czyn, ty jedna, jedyna na świecie szerokim masz tę wszechpotężną moc nademną, że równo bohatera ofiarnego, jak i bezecnego zbrodniarza i okrutnika możesz ze mnie uczynić.

Oficer ukląkł i modlił się, jak do obrazu świętego. Zośka zwiesiła sztuciec, słowa oficera, jak gorący ukrop, zalewały ją i prażyły. Lęk ją zdjął. Gorące wyznania przestały w niej już budzić odrazę i pogardę, uczuła coś straszniejszego w sobie. Zdało jej się, że nagle rozwarła się przed nią i za nią przepaść bezdenna — czy pójdzie naprzód, czy cofnie się w tył — runie na złamanie karku. Odrętwiała też, zlodowaciała przerażeniem, stała. A oficer czołgał się na kolanach, jako ziemna, jadowita gadzina chytra, dopadł nareszcie rękami jej nóg i począł ją gorącemi wargami całować.

— Tysiące mil przez morza wielkie, czy pustynie piasczyste pójdę za tobą, gdzie każesz. Łachmany, żebraka, czy strój magnata wdzieję dla ciebie, aby być z tobą, żyć z tobą i zginąć z tobą. Twarde suchary z tobą pożywać będę, a smak ich chwalić sobie będę, jakobym małmazyą się raczył. Rozkazowania dawaj, bom ja twój sługa, twój rab! — szeptał ogniście oficer.

— Wstań, waćpan, nie godzi mi się słuchać was! Powiedziałam wam przez tatula swego czasu, że afekta wasze nie dla mnie.

Tysiące innych, nadobniejszych w każdej stronie znajdziecie objektów, waszej miłości godnych. Z zacnego rodu kawalerem mówię, dla którego cześć szlachecka świętym, niepokalanym klejnotem.

Oficer głową zaprzeczał, oczy czarne, jak żarzące węgle, obracał, ręce składał.

— Daremnie pukasz do cześci mojej. Nie, nie, nie... Że miłowanie moje głuszy we mnie wszelki głos sumienia, przekonałem was. Nie wahałem się w ręce kata oddać waszego miłego i niechybnie głowa jego spadłaby była pod toporem, gdyby nie nieszczęsny przypadek, cud prawie.

— Poddajcie się tedy wyrokom Boga, jak na chrześcijanina i rycerza prawego przystoi. Zostawcie mnie losom moim z nim.

— Nie, nie!... za nic! Przez co on jest szczęśliwszy ode mnie. Jakim rządem on bez męki, bez starania i zasług wszelkich posiadł, co mnie się z prawa należy? za czem gonię na zatracenie, bez upamiętania. Roztrzaskajcie mi łeb o te głazy, gdyż i wyrozumieć nie mogę — dlaczego tak się stało, a nie inaczej? Czem on godniejszy ode mnie — mówcie, powiadajcie!

— Więc czego wy chcecie ode mnie? Bechtacie mnie to miłemi, to brutalnemi słowy i rozumiecie, że co? że ślub złamię, że swoją cześć niewieścią wyrzucę na gnój... Człeku! Wiedzcie jedno, ostatnie moje słowo: z rozmaitych zdarzeń miarkuję, żeście mnie omotali w sidła, tak, że się z nich nie wymknę. Jaśko daleko, tatulo i powinowaci jeszcze dalej. Macie nade mną władzę, jako oficer nad szeregowym, a jeszcze, jeszcze po nad to wszystko osobliwsze położenie, w jakiem się znajduję. Pełnię czynności szeregowego komputu czynnego... Wszystko to niecne zamiary wasze może ułatwiać, a mnie pogrążyć. Pamiętajcie jednak o tem, żeście na szczególniejszego hartu niewiastę trafili. Postanowienie mam i postanowienia nie złamię, słuchajcie: na wiek wieków duszę zaprzedam, raczej żywota się zbawię, lecz wiary małżeńskiej Jaśkowi Przygodzie nie złamię, chuci z nikim, a więc i z wami dzielić nie będę. Tak mi dopomóż Bóg i święty Jego krzyż.

— Pawle! Pawle! A kędyżeś się zapodział! do stu kroć batalionów dyabłów! Pawle! Bodajże cię tysiąc granatów powaliło! Pawle, bywaj! — rozlegał się po majdanie twardy, suchy głos starego kaprala.

— Jestem tutaj, mości kapralu, do usług gotowy — odezwała się Zośka radosnym głosem, że jej w tak niebezpiecznym momencie skuteczna odsiecz nadeszła.

— Bywajże sam tutaj!

— Zośka! — chwycił ją za rękę oficer, tylko słowo jeszcze. Do jutra się namyślcie. Wiedzcie tymczasem to, że nie pragnę waszego pohańbienia. Do rozwodu pójdziecie z Przygodą. Po dobroci chcę z nim skończyć, odszkodowania dam, ile zażąda. Litujcie się! Nie gubcie siebie i mnie, młodzi jesteśmy. Życie przed nami.

Po aksamitnym szafirze nieba, między jasnemi chmurami, przewijała się srebrna tarcza księżyca. Majdan oświetlało łagodne światło. Wysoka, jak topola postać starego kaprala wysunęła się z mrocznej alei lip na otwartą przestrzeń. Oficer furtką wyszedł w pole, siadł na wierzchowca, przywiązanego do drzewa i galopem popędził w stronę Mohylewa. Zośka zaś stawiła się wnet przed kapralem, lecz ledwie na nogach utrzymać się mogła, wskutek przeżytych wrażeń, ledwie z gardła głos wydobywała, wargi jej drżały, ząb o ząb uderzał.

— Bywajże! i prowadź spiesznie na swoją kwaterę, ważne ucapiłem wiadomości, dziś jeszcze musimy z niemi do Czerniejowiec ruszyć. A, psubraty, parchy, renegaty, przedawczyki... Bodaj was zabito. Patrzcie, do czego przewrotność doszła, wszystkich chcą na dukaty łowić. Psia wasza mać! niedoczekanie wasze! — pomstował stary. A tobie co, że ledwie nogami powłóczysz, Pawle... Chodźże prędzej, bo mnie palą one listy. Pospieszaj! Gdzieś ty był? Baczność! do nogi broń! Wyglądasz, jak nieboszczyk z grobu wywleczony.

— Mości kapralu, istotnie, we wnętrzu ból czuję, jakby mi kto kiszki rwał.

— Patrzcie!

— Przejdzie to jednak, niech jeno spocznę chwilę w kwaterze.

— Pewnie. Gorzałki z pieprzem łykniesz ze dwie kwaterki, wnet zapomnisz o bólach.

— Wiecie, że gorzałki w gębie znosić nie mogę.

— Bo gorzałka nie od tego, żebyś ją w gębie trzymał, jeno jak najprędzej trza ją przełknąć. Do krocset tysięcy parchów z takim żołnierzem!

Na kwaterze nie mogła się wymówić Zośka od gorzałki, przełknęła miarkę i ta ją rzeczywiście orzeźwiła.

— No cóż, lepiej ci, ulży to, prawda?... Łyknij jeszcze jedną blaszkę. Nie chcesz, no, to ja łyknę za twoje i swoje zdrowie. Do ciebie...

— Daj wam, Boże!

— Teraz przybliżże sobie światło i czytaj, co tu napisano. Bodaj pioruny mię zatłukły, że noszę na karku twardy, jak koński, łeb, do którego a, b, c, w żaden sposób przylepić się nie może.

Zośka wzięła z rąk kaprala list i przeczytała adres.

— Do jaśnie wielmożnego chorążego kawaleryi narodowej, JW. pana Józefa Malinowskiego.

Zośce ręce zadrżały. Przetarła oczy i pocichu jeszcze raz adres przeczytała, a potem rzekła:

— Od kogo macie to pismo?

— Wedeta pod lasem ucapiła żyda, u którego pod podeszwą znalazła dwa pisma.

— A gdzież ten żyd?

— Ba, gdzie! Milczkiem przekradł się przez rzekę, skąd się nieprzyjaciela spodziewamy, więc ucapili szpiega, a jako takiemu na gałęzi wieczny nocleg kamraci zgotowali. U nas tak po staremu. Kiedyś szpieg, dyndaj na gałęzi!

— Szkoda. Możnaby z niego co wydobyć żywem słowem — zauważyła Zośka.

— Po próżnicy żałowanie. Myślisz, że na jednym szpiegu się skończy, wysypią się oni, jako orzechy z worka, niech się tylko kampania rozwinie. Czytaj!

Zośka wyjęła z koperty pismo i poczęła czytać nizkim głosem:

„W. M. Panie Dobrodzieju! Przed trzema dniami dałem ordynans komendom dywizyi podolskiej, aby nieodwłocznie do konfederacyi województwa podolskiego przystąpiły, a zrzekłszy się wymuszonego przez spisek warszawski krzywoprzysięstwa, pod Winnicę, potem dla złączenia się z konfederacyą generalną koronną maszerowały. Ostrzegłem oraz, iż kto rozkazowi konfederacyi byłby przeciwny, za nieprzyjaciela ojczyzny uznany i jako taki traktowany będzie.“

— Któż to i komu takie manifesty ogłasza — zapytał gromkim głosem podchorąży Żebrowski, który cicho, bez szelestu wszedł do izby, stanął z boku za kapralem i słuchał.

— Pisze — podniósł głos kapral... Któż pisze — zwrócił się nagle do Zośki, na piśmie pewno się podpisał.

— Pisze — przerzucając kartki listu, odparła Zośka: A. Złotnicki, mianujący się marszałkiem konfederacyi targowickiej, województwa podolskiego i konsyliarzem konfederacyi generalnej koronnej.

— Na takich marszałków i konsyliarzów konopi braknie! — zawołał gorąco Żebrowski. Od rodzica swego wiem coś o sprawkach onego Złotnickiego, wąchał się on pono w Petersburgu z Branickim, Rzewuskim, Potockim, Czetwertyńskim i innymi przedawczykami. Do kogóż taki manifest wystosował?

— Do chorążego Malinowskiego.

— Źle przedawczyna trafił. Malinowskiego nie kupisz, nie z tych on.

Zośka spojrzała przenikliwym wzrokiem na Żebrowskiego i wydłużonym głosem zapytała:

— Ręczy wasza mość za niego?

— Jako za siebie.

— Ciągnij dalej, co napisano — dodał po chwili Żebrowski.

Zośka przysunęła kaganek i znów pochyliła głowę nad pismem.

„Tu dziś stanąwszy, dowiaduję się o lokacyi W. M. Pana Dobrodzieja pod Czerniejowcem; nie mogę znieść na sobie, bym go nie uwiadomił, iż konfederacya generalna w dniu 19 kwietnia pod Targowicą zawiązała się i jej marszałkiem obrany został J. W. Potocki, generał artyleryi koronnej...“

— Łże skurczybyk! — przerwał Żebrowski. Nie pod Targowicą, lecz w Petersburgu konfederacya ta się zawiązała, o czem rodzic mój dobrze wiedzą.

...Że po wszystkich województwach konfederacye tak w koronie, jako Litwie są poczynione; że wojska rosyjskie, jako Rzeczypospolitej przyjazne i aljanckie mają zniszczyć monarchię, gwałtem wzniesioną, a przywrócić samowładność Rzeczypospolitej, utrzymać jej potęgę w całości, zachować kawalerye narodową przy jej prerogatywach i przywrócić wolność wszystkiej szlachcie, że te wojska zaczepione tylko bronić się, a nikogo atakować wyraźny mają rozkaz i że cały naród polski pierwszą sposobność zrzucenia z siebie kajdan 3 maja chwyta z radością...

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego!...—przeżegnali się razem stary kapral i Żebrowski, Zośka zaś czytała dalej:

„A gdy mu o tem donoszę, spodziewam się zarazem, iż jako prawy Polak, wolność swą kochający, nie zechcesz kontrybuować do zguby niewinnych ludzi, komendzie swej powierzonych i własnego nieszczęścia...

„Przyłączam uniwersał J. W. generała Kachowskiego i deklaracyę Najjaśniejszej Imperatorowej całej Rosyi i dla dokładniejszego rozpatrzenia się w zamiarach naszych...

— Dosyć, przez miły Bóg! — zawołał Żebrowski. Pisma te w skok dostarczyć trzeba porucznikowi Grochowskiemu.

— Ja również tak samo myślę — dodał stary kapral.

— Łebskiego jednak posłać należy człeka, żeby nie wpadł w jakową matnię.

— Pojedziesz, Pawle? — zwrócił się kapral do Zośki.

— Chętnie, wedle rozkazu, pojadę z ordynansem. Jeno...

— Co jeno?

— Drogi nie znam.

— Prawda, on z Mazowsza przybyły.

— Kuternogę trza pchnąć. Dajcie mi papiery. Sam go wyekspedyuję.

Żebrowski wziął listy i wyszedł. Zośka z kapralem została sama. Milczeli chwilę, wreszcie dźwignął się z ławy kapral.

— Należy nam się przespać parę godzin. Bywaj zdrów.

— Mości kapralu! — dławionym głosem podjęła Zośka. Okazujecie mi serca wiele. Znaglona jestem tajemnicę wam wyjawić, która mnie pali i piecze, jak fajerka rozżarzona.

— Zakochałeś się! Masz, babo, redutę! — zaśmiał się kapral.

— Dacie łaskawie ucho memu zwierzeniu.

— Mów prędko.

Zośka podeszła do drzwi, zamknęła je na zasuwę, stanęła przed kapralem i namyślała się od czego zacząć. Ognie na twarz jej wystąpiły, rzęsy latały, łzy łykała. Nie umiała zacząć. Nagle oczy jej zaszły łzami i po twarzy jej spływać poczęły, jak wielkie grochy.

— A to co? — zadziwił się kapral. Beczysz, jak dziewka, albo gorzej jeszcze, dzieciuch.

— Widzicie!.. O, Boże mój, Boże!... Ciężko mi... bardzo ciężko...

— Do matuli, do domu ci się ckni. I to bywa, lecz przechodzi.

— Gorze, gorze ze mną... Nie mam nikogo tutaj serdecznego, a gwałtem rady zdrowej, ratunku potrzebuję... O, Boże!...

— Krótko w naszej kompanii jesteś, ale patrząc na twoją nieznużoną pracę, na ochotę, z jaką garniesz się do każdej roboty, umiłowałem cię, Pawle, jako syna rodzonego. Powiadaj tedy, co cię gryzie?

— Przebaczajcie mi i nie sądźcie za surowo. Najpierw wiedzcie, że, że... Boże miłosierny!... że... uniesiona zapałem bronienia Rzeczypospolitej i jej postanowień świętych... postanowiłam stanąć w szeregach... chociaż przeciwne to było płci mojej... gdyż wiedzieć macie, że niewiasta jestem..

Uniósł się z ławy stary kapral, postawił ręce wysoko, gębę otworzył.

— To, to... — wykrzyknął wreszcie. Wciąż mi po starym czerepie chodziło pytanie: Co za bies, nie szeregowy, całkiem mi na dziewkę patrzy.

— Wiedzcie i to: zamężna jestem.

— Tak. A gdzież on mąż? ostał przy kądzieli doma.

— Niech Bóg broni! wraz ze mną do armii wstąpił. Wypadki rozdzieliły nas, czegożem właśnie nie przewidziała.

(D. c n.).



Starożytny obraz Matki Boskiej z byłej ambasady polskiej w Konstantynopolu.



Z dziejów b. ambasady polskiej w Konstantynopolu. W roku 1584 pewna dama, bardzo bogata i pobożna, Klara Bertoldo, wdowa po Mikołaju Drapéris z Genui, podarowała stary kościół i przyległy dom do niego Braciom mniejszym świętego Franciszka. W kościele tym był czczony szczególnie obraz Matki Bożej, malowany w stylu byzantyjskim.

Kościół ten znajdował się w Galacie, niedaleko brzegu morskiego, w tem samem miejscu, gdzie się znajduje obecnie dzielnica, zwana Mum-Khané.

Dnia 16 kwietnia 1660 r. pożar zniszczył kościół i budynki, należące do niego, lecz obraz powyższy cudownym sposobem ocalał.

Zakonnicy nie mieli środków, żeby odbudować spalony kościół i dopiero po 18-tu latach zebrali w drodze składek tyle grosza, że mogli już myśleć o wybudowaniu i klasztoru swego i kościoła — co też przy końcu roku 1678, uczynili, przenosząc się do Péra.

W roku 1797, gdy klasztór i kościół wybudowany w Péra, zniszczony został przez trzęsienie ziemi, wspomniany obraz znowu cudownie ocalał i zawieszony został wkrótce w kaplicy polskiej ambasady przy ulicy Lechsokak, gdzie się znajdował po dzień pożaru polskiej ambasady.

Potem obraz ten przechowywany był u ostatniego dragomana b. ambasady polskiej, p. Aksaka, w jego jali w Ortakieny, a po jego śmierci przeszedł znowu na własność Ojców Franciszkanów i wisiał jeszcze w roku 1856 w wielkim ołtarzu tegoż kościoła w Péra.

Dr. Fruziński-Bej.

Szkodliwa „Opatrzność“. Towarzystwo „Opatrzność“, które miało na celu jakoby opiekę nad wychodźcami, w rzeczywistości jest ajencyą emigracyjną, agitującą przy pomocy kłamliwej reklamy za wychodźtwem do Ameryki i dla zysku własnego naganiającą plantatorom brazylijskim i innym „białych niewolników“.

Wydawana w Kurytybie przez księdza Petersa „Gazeta polska w Brazylii“, pisze:

„W gazetach górnośląskich i poznańskich spotykamy ogłoszenia Towarzystwa opieki nad wychodźcami, istniejącego w Krakowie pod nazwą „Opatrzność“. W owych ogłoszeniach twierdzi „Opatrzność“, że „ma w Brazylii swych urzędników i zajmuje się losem wychodźców na miejscu“. Myśmy tu, w Paranie, zgoła o tych urzędnikach nie słyszeli, a jeśli jacy są, to chyba w Rio de Janeiro. I rzeczywiście, zjawiają się dość często jakieś osobistości, które zupełnie bezinteresownie radzą świeżo przybyłym, iść na plantacye kawy w stanie S. Paulo.

Mogłoby się dziwnem wydawać, dlaczego właśnie ten stan brazylijski utrzymuje osobną ajencyę kolonialną w Europie i dlaczego tylko ajenci tego stanu tak usilnie wabią emigrantów. Racya jest bardzo jasna. W różnych stanach jest różne położenie emigrantów, ale bez najmniejszej wątpliwości położenie tych, co dadzą się namówić na plantacye kawy w S. Paulo, jest najgorsze i najtrudniejsze do naprawy. Cała agitacya stanu S. Paulo w Europie i w Rio ma na celu jedynie ściągać ludzi na plantacye kawy, to jest zwabiać nieświadomych do roboty, której nikt w tym kraju w obecnych warunkach odbywać nie chce. Aby robotnika, który im raz wpadł w ręce, jak najdłużej zatrzymać, uciekają się właściciele do jak najhaniebniejszych kruczków. Nie mogąc znikąd otrzymać robotników, udano się niedawno temu do Japonii w mniemaniu, że tamtejsi biedacy zadowolnią się lichym zarobkiem na plantacyach. Japończycy wprawdzie przyjechali, ale byli o tyle ostrożni, że wszystkie umowy zawierali za pośrednictwem swego posła przy rządzie brazylijskim. Po niespełna trzech miesiącach nie było ani jednego Japończyka na plantacyach i mogli z łatwością wyjść, bo się od początku roztropnie urządzili.

Ale kilka tysięcy rodzin włoskich, a paręset rodzin polskich dźwiga jarzmo niewoli i nędzy w plantujących od kilku lub kilkunastu lat, uciekają zaś chyba ci, którym wymarła cała rodzina. Inni są tak skrępowani umowami i długami, że się żadną miarą z tego piekła wyrwać nie mogą.

Wielu plantatorów było tak niesumiennych, że zostawali za całe lata winni swoim robotnikom, tak, że ci, zostając bez grosza i mając wszystkie krwawo zapracowane oszczędności w rękach plantatora, nie mogli się ruszyć z miejsca. Zatrzymanie zapłaty robotnikom, ten grzech, wołający o pomstę do nieba, już od długiego czasu i na wielką skalę praktykuje się na plantacyach Stanu S. Paulo.“

List do redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego“. Byłem chory na płuca, wskutek czego nie mogłem pracować. Udałem się pod opiekę Matki Boskiej Częstochowskiej, w celu odzyskania zdrowia i po uczynieniu ślubu, że gdy wyzdrowieję, ogłoszę to publicznie — zdrowie odzyskałem. Co też czynię i stwierdzam niniejszym podpisem:

Parafianin kotuszowski, ze wsi Korytnicy, *Ignacy Szczepankiewicz.*

Germanizacya a duchowieństwo. Niedawno podały pisma poznańskie wiadomość, że biskup chełmiński posłał jako wikaryusza do Byszowa, parafii, liczącej 2,000 polskich i 2 niemieckich katolików, księdza Ohla, nie umiejącego ani słowa po polsku.

Obecnie „Ksiądz-Polak“ pisze w *Kuryerze Poznańskim* o nowych, nad wyraz przykrych faktach w Prusiech Zachodnich. Oto w dyecezyi chełmińskiej, nie władający językiem polskim, ks. kanonik Scharmer, został generalnym wikarym po zmarłym oficyale ks. kanoniku Lüdtkiem. Na osobę nowego dygnitarza dyecezyi chełmińskiej rzuca światło jego traktowanie Polaków, gdy jeszcze był proboszczem u świętego Mikołaja w Gdańsku.

„Ile to zabiegów i starań mieli tamtejsi parafianie o polskie nabożeństwa, choć stanowili trzecią część parafii — pisze „Ksiądz-Polak“. — Ostatecznie po wielu zabiegach rozporządził ówczesny ks. biskup dr. Redner, ażeby w tej parafii, obok niemieckich, odprawiały się także i polskie nabożeństwa, i to o 8-ej godzinie z rana, lecz natrafił na opór zacięty proboszcza parafii świętego Mikołaja. Śmiał on wtenczas odpowiedzieć ks. biskupowi, że w jego parafii tylko cztery baby nie umieją dostatecznie po niemiecku, dlatego owa ranna msza święta z polskim śpiewem i kazaniem miała być zbyteczną. A kiedy ks. biskup obstawał przy tem, aby proboszcz jego rozporządzenia respektował, użalił się tenże na niego w Rzymie. To nietaktowne postępowanie dotknęło ks. biskupa tak boleśnie, że krótko przed śmiercią powiedział: „Na Polaków nie mogę narzekać, najbardziej mi dokuczyli moi ziomkowie“.

Później jednakowoż, w pewną niedzielę, miała się odprawiać msza święta o godzinie 8-ej z polskim śpiewem i kazaniem, lecz te-

raz niespodziewanie, oczywiście za zgodą proboszcza, zastrajkował organista, nie chcąc grać polskich melodyi na organach. Dopiero po wielu korowodach uczynił to, ale za osobną zapłatą, które to pieniądze musieli złożyć polscy parafianie świętego Mikołaja. Tę sprawę opisywała swego czasu prasa zachodnio-pruska długo i szeroko".

Również na wakujący po ks. Lüdtkiem kanonikat ma być powołany do Pelplina ks. Spors z Gdańska. Ks. Spors odznaczył się tem, że zakazał dzierżawcy gospody świętego Józefa w Gdańsku mówić po polsku. Dlatego Polacy ową gospodę, do której budowy przyczynili się swoim groszem, od kilku lat już bojkotują.

Jarmarki na dzieci. Jarmarki na dzieci, nie gdzieś w głębi Afryki, ale w naszym kraju się odbywają, w Kolnie, w gub. Łomżyńskiej. Mówi o nich „Gazeta Świąteczna".

Ze wsi okolicznych zjeżdżają się do Kolna ojcowie i matki z dziećmi i gromadzą się przed karczmą. Do gromady takiej przychodzą Prusacy poszukują nieletnich robotników i pytają się: „ile który chłopak kosztuje?" Jeżeli chłopak ma lat dwanaście, to Prusak daje za jego pracę trzydzieści lub czterdzieści rubli, trzy ubrania i parę butów; rodzice chłopca jednak na to się nie godzą, chcą pięćdziesiąt rubli. Krzyczą i targują się do upadłego, aż nakoniec staje umowa. Potem idą na zgodę do karczmy i Prusak stawia gorzałkę, którą piją nietylko rodzice, ale i mały najemnik.

Korespondent „Gazety", donosząc o tym szkodliwym zwyczaju, dodaje od siebie następujące uwagi:

„Jakąż krzywdę, ba! — jak wiele ciężkich krzywd wyrządzają tacy rodzice swym dzieciom! Własną krew oddają na poniewierkę do Prusaków. I czegóż ten chłopak tam się nauczy? Oto nauczy się kraść, upijać, papierosy palić, kląć, zapomni pacierza, którego matka go nauczyła, wyzbędzie się wiary świętej, zapomni, że jest Polakiem. Cóż za pożytek społeczeństwu przyniesie taki chłopak, gdy wyrośnie? Czy nie lepiejby dla niego było, żeby teraz, zanim urośnie, nabywał oświaty, żeby nauczył się odróżniać dobre od złego? Ojcze i matko, czy wiecie, dlaczego Prusak najmuje wasze dzieci do pasienia bydła, dlaczego płaci wam za nie więcej, niż tu mogłyby zarobić? Oto dlatego, żeby jego dzieci miały czas chodzić do szkoły i oświecać się. Prusakowi droższe jest światło nauki, niż pieniądze. Któż jeszcze nie słyszał, jak tam naszych braci w Poznańskiem uciemiężają, wyganiają ich z ojczystych zagród, jak nie dają im po polsku modlić się do Boga? A wszakże i tu, wśród naszych zagród, Prusak na każdym kroku wykupuje nasze ojczyste

zagony. A my jeszcze dajemy mu naszych niedorosłych synów na służbę, aby robił z nich pijaków i zaprzańców. O, jacyśmy ciemni i biedni!“

Z Poznania. „Gazeta Grudziąska“ podaje następujący fakt, stanowiący wspaniałą ilustracyę do pruskiej noweli osadniczej, którą tylekrotnie napiętnowali posłowie nasi, a ostatnio poseł dr. Z. Seyda w sejmie pruskim.

Oto p. Januszewski w Lucimiu postanowił na zakupionej niedawno parceli wystawić mieszkanie, lecz nie otrzymał pozwolenia. Dostał je tylko na stodołę i chlew dla świń. Ponieważ w pobliżu żadnych zabudowań nie było, a pasza dla świń musiała być gotowana, złożył p. J. podanie do landrata o pozwolenie postawienia komina — lecz napróżno. Wreszcie po długich staraniach dostał konsens na komin i kuchnię, ale tylko pod tym warunkiem, że jedynie świniom będzie gotował. Panu J. sprzykrzyły się wreszcie ciągłe zatargi z policyą i płacenie kar, ale pomimo to, nie sprzedał swej ziemi kolonizacyi, która koniecznie ten kawałek ziemi chciała odkupić; sprzedał go natomiast Polakowi, a sam wykupił kawał ziemi z rąk niemieckich p. Gertha w Lucimiu.

Dziki zakaz. W Hamborn, w Westfalii, gdzie połowa ludności jest katolicką i polską, policya zabroniła noszenia w procesyach chorągwi z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej i napisem: „Matko Boska Częstochowska, módl się za nami!“ Policya uznała, że wizerunek ten podburza ludność przeciw państwu. W sprawie tej zwrócono się do landrata von Winfinga, który przysłał następującą charakterystyczną odpowiedź: „Na wniesione do mnie podanie odpowiadam, że na noszenie chorągwi z wizerunkiem narodowo-polskim, a takim jest wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej, pozwolić nie można. Wizerunek ten bowiem okazuje łączność Polaków, poddanych pruskich, z Królestwem Polskiem, które nie istnieje i tylko przez zmniejszenie Królestwa Pruskiego mogłoby w dawnych granicach powstać. Noszenie więc tego wizerunku w procesyi wykracza przeciw porządkowi publicznemu i uprawnia władzę policyjną do wydania zakazu pod groźbą kary na mocy paragrafu 132 ustawy o administracyi krajowej.“

Z Pabianic, gubernii Piotrkowskiej. Piękny przykład samopomocy złożyli robotnicy w Pabianicach. Zmówiwszy się w 19-tu, wystawili własną pracą i kosztem spółkowy dom robotniczy. Pobudką

do działania była samoobrona przed wyzyskiem ze strony właścicieli domów w Pabianicach, którzy poczęli nadmiernie podnosić komorne. Ponieważ każdy z robotników posiadał jakiś zaoszczędzony fundusik, zabrano się więc niezwłocznie do roboty.

Budowano sposobem gospodarczym, powierzywszy kierownictwo czterem członkom, którzy rozdzielali pracę i byli odpowiedzialnymi wobec władzy. Wszyscy zgodnie stanęli do roboty. Ażeby, o ile można, najoszczędniej poprowadzić budowę, sami wykopali fundamenta, przygotowali wapno, znosili murarzom cegłę na oznaczone miejsce, sami zaciągali belki, pobijali dach — wszystko pod dozorem specyalisty, poświęcając na to godziny wolne po pracy fabrycznej.

Przemyślni i oszczędni potrafili wyzyskać każdy szczegół. Piasek kopali w jednym końcu swego placu, glinę w drugim, zaoszczędzając w ten sposób około 80 rubli. Dzięki tej zabiegliwości udało się im dokonać, względnie bez środków, dzieła wprost olbrzymiego. Wystawili dom piękny, długi na 106 łokci. W domu tym mieści się 16 mieszkań, z których każde składa się z pokoju i kuchenki, obszernej komórki i wspólnej góry, podzielonej na cztery przedziały. Koszt tej wspólnej budowli wyniósł po 700 rb. na członka, nie licząc oczywiście wspólnej pracy przez całe lato. Umieszczony w ten sposób kapitał, zapewnia im z góry 100 rb. rocznie oszczędności, gdyż za takie mieszkanie, z jakiego obecnie każdy z nich korzysta, musieliby płacić około 150 rb. rocznie, gdy procent od kapitału, umieszczonego w jakiejś kasie oszczędnościowej, nie mógłby im dać więcej nad 40 rb. Podobno przykład ten podziałał zachęcająco i w roku bieżącym powstać ma w Pabianicach jeszcze kilka podobnych domów spółkowych.

Z Bajrutu, miasta Azyi Mniejszej. Miasto Bajrut jest portem, a zatoka świętego Jerzego pokryta jest lasem statków. Port ten roi się od wszelkiego rodzaju ludzi, a początek jego sięga tych czasów, gdy zbudowano stąd kolej do Jaffy. Ulice miasta pełne są błota i nieczystości i aby z jednej ulicy dostać się na drugą, potrzeba koniecznie użyć pojazdów. To jednak szczęście, że fiakrom tutejszym nie trzeba wiele płacić za usługi, bo pojazdy wynajmują tanio. Najczyściejszem miejscem jest wzgórze pewne, na którem wznosi się amerykańskie kolegium prezbiteryańskie. I w tej to okolicy mieszczą się wszelkie konsulaty.

W niższej części miasta znajduje się uniwersytet świętego Józefa, którego zwierzchnikami są Jezuici. Jest on pierwszym uni-

wersytetem w Syryi, a ma trzy fakultety: teologii, medycyny i wschodnich języków. Do tego uniwersytetu uczęszcza 900 uczniów, mieszkania jego i kwatery są zbyt szczupłe, aby odpowiedzieć wymaganiom. Szczególnie fakultet medyczny źle jest wyposażony. Zwiedzając ten uniwersytet, spotkałem się z jego rektorem—Ojcem Mattersem—francuzem, którego brat jest słuchaczem medycyny w kolegium jezuickiem w New Orleans. Wszelkie inne wydziały są wspaniale i bogato wyposażone, z czego korzystają studenci syryjscy.— Płacą oni regularnie swe należytości za naukę i z tych utrzymują Jezuici ów uniwersytet, który sieje oświatę wśród Syrjczyków, uczy ich zasad moralności i wiary, a zarazem przygotowuje ich na przyszłość — do pracy dla ogółu i ich narodu. Uniwersytet więc spełnia swe zadanie, a wielka to praca i wspaniała, chociaż dopiero w powijakach.

Z Cieszyna. Hakata prusko-niemiecka na Śląsku austryackim znowu uczyniła w swojej robocie jeden krok naprzód. Od dłuższego czasu bowiem obiegająca pogłoska o wydawaniu pisma przez Niemców, lub renegatów polskich w języku polskim, lecz w duchu niemieckim, sprawdziła się. Dnia 13 lutego r. b. wydano pierwszy numer tego pisma, mającego za zadanie obronę niby praw ludu śląskiego — a w rzeczywistości bezprawnego stanu posiadania Niemców na Śląsku. Dwaj renegaci polscy podjęli się tego nad wyraz wstrętnego dzieła. Siedzibą tego pisma ma być Skoczów, ten sam Skoczów, o którym wieść gminna głosi, że tam właśnie skoczyła do Wisły Wanda, nie chcąc oddać swej ręki Niemcowi.

Jaki charakter ma być tego pisma, wystarczy nadmienić, że powstaje dzięki poparciu finansowemu spółki hakatystyczno-pruskiej w Cieszynie. Jak stawać może w obronie ludu śląskiego pismo, którego kierownicy zawsze i wszędzie głoszą zagładę wszystkiego co polskie, przedstawiający stosunki w Galicyi w świetle jak najgorszem, wzywający do wyparcia ze Śląska wszystkich Polaków (sic!), przestrzegający lud śląski przed wyższą niby kulturą polską, pochodzącą z Galicyi.

Rzecz jednak dziwna, że to samo pismo używa poprawnego języka polskiego, chociaż stara się wmówić w ludność tutejszą, że lud śląski nie ma żadnego związku z „Polakami“, mieszkającymi w Galicyi.

Nowe pismo stara się zohydzić nietylko nauczycieli z Galicyi, lecz i tutejszych wybitnych działaczy narodowych z równoczesnem

pozyskaniem ludności śląskiej, aby później tem łatwiej pobić i wziąć ich do niewoli, niby wojsko bez wodza.

Niebezpieczna melodya. Z Sobków, w powiecie tczewskim, donoszą „Gazecie Grudziądzkiej“, że gdy muzykanci orszakowi weselnemu, udającemu się do kościoła, grali melodyę pieśni „Serdeczna Matko“, przysłał tamtejszy wójt sługę, by zanotował nazwiska muzykantów, którzy mieli śmiałość grać tę melodyę.

Aresztowany za noszenie orzełka. W Toruniu pan St. Talkowski został aresztowany na publicznej drodze i odprowadzony na odwach, gdzie mu zerwano z piersi orzełka białego na czerwonem tle. Dnia następnego musiał się p. Talkowski stawić do komisarza obwodowego, który oświadczył, że wytoczony mu zostanie proces o podburzanie do gwałtów. Pan Talkowski sam zamierza stawić wniosek o zadośćuczynienie za niedozwolone aresztowanie i uszkodzenie jego ubrania.

Młody Roosevelt pracuje. Theodor Roosevelt, młodszy syn byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych, zatrudniony w fabryce dywanów w Thompsonville, otrzymał promocyę, gdyż z przedziału sortowania wełny jest przeniesiony do departamentu tkackiego. Pensya jego jeszcze jest ta sama, co dawniej, dopóki się nie nauczy lepiej tkania dywanów. Pobiera on teraz 5 dolarów tygodniowo.

Dar Grunwaldzki. W Galicyi powstał piękny projekt, który całe społeczeństwo polskie przyjęło gorąco i na który złożyło dotychczas już pokaźne sumy, zbyt małe jednak, aby cel całkowicie został osiągnięty. Nie wszyscy jeszcze złożyli swój dar ofiarny, a dać winni wszyscy. Chodzi o zebranie miliona koron na polskie szkoły kresowe, szczególnie śląskie, aby przez ten dar ofiarny uczcić pięćsetną rocznicę bitwy pod Grunwaldem, dziatwę i młodzież polską wyrwać z rąk pruskich i niemieckich cywilizatorów.

W sprawie tej zabrał głos wielki nasz pisarz — Henryk Sienkiewicz w liście do krakowskiej gazety „Reformy“.

„Uznając, że walka nie na armaty i bagnety, ale na szkoły jest najszlachetniejszą i jedyną walką, jaką nasz naród podjąć może, ofiaruję na ten cel tysiąc koron, w ten sposób, że w pięciu latach przeznaczonych na zebranie miliona, będę składał w Krakowskiej Kasie Oszczędności po dwieście koron rocznie. Ofiarę tę składam jednak bezwarunkowo, to jest bez względu na to, czy w ciągu

powyżej wymienionych lat zbierze się lub nie zbierze, milion koron. Sądzę bowiem, że pół, a nawet i ćwierć miliona może mieć wielkie znaczenie w obronie od wynarodowienia naszych przyszłych pokoleń — i że gdy nie można założyć dziesięciu szkół, to lepiej jest założyć pięć, trzy, a nawet jedną, niż nie założyć żadnej.

Ufam jednak, że podpisów na milion się znajdzie, a jestem głęboko przekonany, że suma ta zostanie co najmniej zdwojona, jeśli większe przyobiecane kwoty zostaną poparte przez drobne składki patryotów, którym przyszłość narodu leży na sercu. W tej myśli dla otwarcia rubryki składam w waszej redakcyi 10 koron."

Ten przykład naszego wielkiego pisarza powinni naśladować wszyscy, bez względu na stan i wiek. Pamiętać bowiem należy, że najmniejszy datek przyczyni się do zwiększenia „Daru Grunwaldzkiego."

Dwie potęgi. W piątym wieku naszej ery na olbrzymich równinach Katalonii, pod Châlons sur Marne, stanęły naprzeciw siebie dwie olbrzymie armie. Na czele jednej stał Attyla, dziki wódz Hunnów, na czele drugiej Aecyusz, wódz Rzymian. Attyla zgromadził hordy wszystkich ludów, począwszy od Wołgi aż do Renu. Ostrogotowie, Gepidowie, Herulowie, Longobardowie, Burgundowie i liczne plemiona słowiańskie stanęły pod jego rozkazami. Z drugiej strony Aecyusz, jako obrońca cywilizacyi, wywiódł legiony rzymskie. Zawrzała bitwa, jakiej ówczesny świat nie oglądał. Walczyło około miliona wojowników. Śmierć na żadnem może pobojowisku nie zebrała takiego krwawego żniwa. Dotychczas atoli zwycięski Attyla, walcząc do późnej nocy, zmuszony był cofnąć się do oszańcowanego obozu. Straty poniósł tak wielkie, że choć siły miał dwa razy większe niż Rzymianie, dalszego pochodu w głąb imperyum rzymskiego zaniechał. Dopiero roku następnego uderzył ze zdwojoną siłą, pragnąc zdobyć Rzym.

Hunnowie odrażającej byli postaci: barczyści, cerę mieli ciemną, małe skośne oczy, przyodziewali się skórami dzikich zwierząt, do konia przyrośli prawie, gdyż na koniach wzrastali i wychowywali się, i na koniach śmierć znajdywali wśród bojów ustawicznych. Attyla sam się „Biczem Bożym" nazywał, nikt nie mógł znieść wzroku tego tyrana. Zdobywszy miasto Akwileję, będące jakby wrotami Włoch, miał zamiar całą włoską ziemię spustoszyć.

Lecz właśnie gdy u wrót Rzymu się zatrzymał, stanął przed nim papież Leon święty, imponujący starzec, w papieskie szaty przybrany, wśród orszaku najprzedniejszych panów Rzymu. Powaga



Attyla powstrzymany u wrót Rzymu przez papieża Leona I.

i stałość Ojca świętego wielkie na dzikim najeźdźcy uczyniły wrażenie, wysłuchał cierpliwie żądań, które mu Leon z uszanowaniem lecz i siłą zarazem przedłożył, a gdy patrzał na niego, wydawało mu się, jak to sam później przyznał, iż widział po obu jego bokach dwóch groźnych mężów, unoszących się w powietrzu.

Zmieszany widzeniem tem, czy też stałością niewzruszoną papieża, przystał Attyla na wszystkie żądania jego, zawarł za jego pośrednictwem pokój z Walentynianem III, cesarzem rzymsko-zachodnim roku 451, i wraz z wojskiem wnet do Węgier się cofnął, gdzie wkrótce z krwotoku umarł.

Gdy Leon I wracał do Rzymu, lud cały wybiegł na jego spotkanie, witając go „nietylko dusz swoich, ale i samych siebie obrońcą i pasterzem".

W starciu się dwóch potęg przeważyła duchowa, dając świadectwo tej wielkiej prawdzie, że siła prawdy, siła moralna, duchowa jest niezwyciężona.

Miłosierna królowa. Niema siostry miłosierdzia, która oddawałaby się z większą ofiarnością pielęgnowaniu rannych, podczas trzęsienia ziemi w Messynie, niż królowa włoska, Helena, którą lud prosty dotkniętych klęską okolic nazywa „nasza święta". Obrała sobie kwaterę na pancerniku admiralskim, który jej imię nosi i który został zamieniony na okręt szpitalny. Przybyła na statek o 8-ej rano bez żadnych dam, ani służących. Nic nie zdradzało, że ta młoda nieznajoma, w zwykłej miękkiej czapeczce, na czarnych jak smoła włosach — jest pierwszą kobietą we Włoszech. Nikt jej nie przyjmował, nie salutował, nie poznawali jej nawet ludzie, zabroniła bowiem wszelkich demonstracyi.

Zaledwie przybyła na pokład, wybrała miejsce na salę operacyjną i zorganizowała służbę sanitarną. Potem włożyła biały fartuch siostry miłosierdzia i zaczęła pielęgnować ranionych, zwłaszcza kobiety i dzieci. Od siódmej rano do ósmej wieczorem pracowała, używając swojej władzy jedynie wtedy, kiedy ciężka, jak wszędzie biurokracya włoska stawiała jakieś sztuczne przeszkody, ułatwiała wywożenie dalsze lżej poszkodowanych, których miejsca zajmowali zaraz nowi chorzy. Lekarze, którzy od czasu do czasu wychodzili na pokład zaczerpnąć świeżego powietrza, podziwiali królowę, która bez przerwy przebywała w dusznych, przesiąkniętych wyziewami chorych, salach.

Kiedy angielski admirał odwiedzał włoskiego i dowiedział się, że na pancerniku jest królowa, chciał jej złożyć uszanowanie. Mógł

to zrobić jedynie, schodząc do lazaretu, gdzie przewiązywała właśnie ranę głowy jakiejś biednej chorej. Admirał chciał pocałować ją w rękę, ale królowa kiwnęła głową przecząco, ze smutnym uśmiechem:

— Są tu plamy krwi—mówiła—mógłby pan przenieść zarazę.

Pewna wieśniaczka chciała zamorzyć się głodem, ponieważ wszyscy jej najbliżsi zginęli. Odmawiała przyjmowania pokarmów. Ale królowa zaniosła jej sama filiżankę rosołu i uścisnąwszy ją, przemówiła:

— Jeżeli mnie kochasz, wypij...

I chora wypiła bulion.

Tak podczas wielkiej żałoby narodowej włoskiej postępowała pierwsza pani we Włoszech.

O jednym z tych, których sława nie zaginie. W setną rocznicę bohaterskiego zgonu.

. . . .

Jak stado orłów, spadł hufiec jazdy polskiej na Austryaków... Lubo w przeważającej liczbie, nie mogli się ostać, pierzchnęli na wszystkie strony...

Pierzchnęli z przedmieścia, pierzchnęli z rynku, gdzie pierwszy uderzył na nich wódz bohaterski... Wysunął się na czoło oddziału, szabla jego świeci w powietrzu, jak błyskawica.

Miasto zdobyte, zdobyty Kock... wróg ustąpił, armia księcia Józefa Poniatowskiego może postępować naprzód... Tuż-tuż o miedzę zielenią się galicyjskie pola...

Garstka legionistów polskich rozpędziła pułk huzarów austryackich, hańba spadła na głowy wrogów i na ich honor wojskowy.

Ustąpić prawie bez bitwy, oddać miasto Polakom?...

Oto ocknęli się, jak chmura zbierają się pod miastem, serca ich przejmuje otucha... Widzą, że są stokrotnie silniejsi... I jak burza, uderzają na śmiałków.

Zawrzał bój... Zakotłowało się, zakłębiło na rynku miasteczka... Konie i ludzie zwarli się w nierównym boju.

Garstka legionistów polskich ginęła, ustępowała, zaś chmara żołdactwa niemieckiego szalała z coraz to większem okrucieństwem.

Aż został się na polu walki sam tylko wódz polskich legionistów i wraz z dwoma towarzyszami walczył nieustraszenie.

— Poddaj się! — krzyknął jeden z wrogów.

— Poddaj się! — rozkazywał drugi — lub śmierć ci!

I dziesiątek szabli wzniósł się do ciosu śmiertelnego nad głową osaczonego.

— Jam nie z tych, którzy się poddają! — dał się słyszeć głos twardy, żołnierski, jednocześnie wódz oddziału polskich legionistów błysnął szablą i natarł na wrogów.

Krótko już trwała walka.

Jak stado sępów, rzucili się Austryacy na nieustraszonego wojaka.

Legł nagle z rozłupaną czaszką u stóp wiernego siwosza.

Wtedy opamiętali się wrogowie.

— To bohater! — rzekł któryś z nich.

I ze czcią odsunęli się od konającego wojaka.

. . . .

Tym nieustraszonym rycerzem, poległym na polu chwały, był Berek Joselewicz, podpułkownik piątego pułku strzelców konnych, któremu główny wódz armii polskiej, książę Józef Poniatowski rozkazał torować drogę do Galicyi. Właśnie około południa 5 maja 1809 roku Berek Joselewicz spotkał się z wrogiem i uderzył nań, nie zważając na liczbę.

W jednej chwili miasto znalazło się w ręku Polaków, a choć później Austryacy opamiętali się i Berek bohaterską śmiercią przypieczętował swoje zwycięstwo, to jednak nazajutrz armia polska miała drogę otwartą. Przerażeni Austryacy miasto opuścili.

W pogoń za nimi poszły wojska polskie...

. . . .

Zgon walecznego Berka Joselewicza opłakiwali liczni jego towarzysze broni, ci, którzy wraz z nim walczyli na obczyźnie, pod włoskiem niebem, którzy wraz z jenerałem Dąbrowskim „z ziemi włoskiej przybyli do Polski.“

Berek Joselewicz był żydem, jednym z tych, którzy gorąco ukochali Polskę, jako wspólną matkę ojczyznę. Na wezwanie Tadeusza Kościuszki, aby wszyscy synowie Polski, bez względu na stan i wyznanie, chwycili za broń, Berek pierwszy to uczynił, zachęcając innych.

Pod bokiem Kościuszki, a później przy Dąbrowskim, Kniaziewiczu, księciu Józefie Poniatowskim zdobywał sobie Berek coraz to większy szacunek i uznanie. Ceniono go, jako walecznego żołnierza i prawego, gorąco ojczyznę miłującego człowieka. Pierś jego wkrótce ozdobiła wstążka Legii honorowej i krzyż „Virtuti militari“ — marzenie walecznych.

Gdy ucichły surmy wojenne, gdy młode Księstwo Warszawskie rozszerzyło się, gdy Kraków wraz z zachodnią Galicyą znalazł się w jego granicach, wtedy to, w dniu 10 lipca 1810 roku, ówczesny monarcha Polski podpisał dekret, mocą którego osierocona wdowa i syn poległego pułkownika otrzymali tysiąc osiemset złotych rocznej pensyi, przyczem zasługi Berka dla ojczyzny publicznie uczczono.



Berek Joselewicz, według obrazu Juliusza Kossaka.

Wdzięczny zaś lud za miastem Kockiem usypał wysoką mogiłę, do dziś dnia świadczącą, że tutaj spoczywają prochy jednego z dawnych i bohaterskich synów ojczyzny.

. . . .

Sto lat od tej chwili ubiegło, sto długich lat, wiele głośnych wydarzeń zatarło się w pamięci ludzkiej, wiele przebrzmiało, ale

sława i pamięć chwalebnego życia dla dobra ojczyzny i bohaterskiego zgonu Berka Joselewicza żyje wciąż czysta i świeża.

Ale gdy patrzymy na obecne pokolenia żydów, zamieszkałych naszą ziemię, jakże bolesne przychodzą nam refleksye. Fala tak zwanych „litwaków“, która zalała nasze główne punkty przemysłu i samą Warszawę do reszty deprawuje żywioł żydowski.

Stefan Gębarski.

Procesye w dzień Bożego Ciała. W dzień Bożego Ciała odbywają się u chrześcijan katolików procesye, podczas których towarzyszą duchowieństwu tłumy pobożnego ludu, śpiewając pieśni nabożne i słuchając odczytywanych przez celebrującego kapłana Ewangelii. Małe dziewczynki, biało ubrane, rzucają kwiaty na drogę, którą idzie ksiądz z monstrancyą; starsze dziewczęta niosą kwiaty, obrazy, chorągwie i t. p., a wszystko to przy odgłosie dzwonków i bębna wytwarza bardzo uroczysty nastrój i budzi poważniejsze myśli, zwracając je ku Panu nad pany.

Niegdyś nadzwyczaj wspaniale odbywały się takie procesye w Paryżu, lecz najwspanialsze bywały podobno w Paragwaju pod rządami jezuitów.

Celem tej uroczystości było zgromadzić wszystkie rzeczy stworzone i ożywione i wszystkie twory ziemne dla uczczenia i uwielbienia Stwórcy świata.

W historyi Paragwaju znajduje się taki opis:

„Wszystkie ulice, któremi niesiono Najświętszy Sakrament, usłane były zielonością, przedzielaną rozlicznemi kwiatami; wychodząc z miasta, szło się przez długie szpalery drzew pomarańczowych i cytrynowych, których pnie połączone były wieńcami jaśminu i amarantu; ulice w pewnych odległościach poprzecinane były łukami tryumfalnemi z liści i kwiatów, na wierzchu których znajdowało się mnóstwo ptaków z świetnemi piórami, trzymanych w niewidzialnych sieciach. Po bokach tych łuków tryumfalnych były źródła wytryskające i sadzawki z przezroczystą wodą, napełnione pięknemi rybami, których kształt rysował się dokładnie na czystym piasku. Coraz dalej w pewnych odległościach widać było z obu stron alei w gaikach myrtu i róż lwy i tygrysy okute w łańcuchy, przybrane kwiatami w ten sposób, że zdawało się, iż to nie łańcuchy, a wieńce z kwiatów. Szło też mnóstwo dzieci, wyobrażających aniołki, za któremi posuwały się zwolna gromady dziewic w bieli, uwieńczonych laurami; dzieci i dziewczęta rozrzucały kwiaty, liście i wonne zioła, a co dwadzieścia kroków napotykano ołtarze z mu-

rawy, nakryte świetnemi koszykami, napełnionemi owocami, jarzynami, kłosami ziarn z całej ziemi i naczyniami kryształowemi, pełnemi mleka. U stóp tych ołtarzy paliły się kosztowne wonności w złotych kadzielnicach, ozdobionych drogiemi kamieniami.

Tłumy ludzi szły tą wspaniałą drogą, a orszak zamykała wielka orkiestra, która grała z przestankami, aby dać usłyszeć od czasu do czasu szmer wody, śpiew ptaków, ryk zwierząt i głosy ludzi, śpiewających piękny i wzniosły hymn Daniela:

— Zioła, które rośniecie na ziemi, błogosławcie wszystkie Pana i chwalcie Go, podajcie Jego wielkość wszystkim wiekom!

— Źródła, błogosławcie Pana i t. d.

— Ryby i wieloryby, żyjące w wodzie, błogosławcie wszystkie Pana i t. d.

— Ptaki niebieskie, zwierzęta domowe i dzikie, błogosławcie Pana i t. d.

— Dzieci ludzkie, wysławiajcie Pana, chwalcie Go i podajcie Jego wielkość wszystkim wiekom!"

Można sobie wyobrazić, jak wspaniały widok przedstawiała cała ta uroczystość, jakie podniosłe wrażenie wywierała na uczestników.

Helena Bojarska.

Wróżbici i wróżbiarki. Istną plagą naszego społeczeństwa—czytamy w „Ludzie Bożym" — są tak zwani wróżbici najrozmaitszych rodzajów, którzy, korzystając z naiwności innych, wróżeniem przyszłości z ręki, kart lub charakteru pisma, naciągają niemiłosiernie bliźnich, wyłudzając za swoje „przepowiednie" znaczne nieraz pieniądze.

Nigdzie chyba ten „przemysł" nie jest tak rozpowszechniony, jak u nas. Rozmaici znachorzy, wróżki, prorocy i inni szarlatani umiejętnie wyzyskują ciemnotę naszego ludu, który też więcej nieraz wierzy brudnej, obdartej, nieumiejącej nawet czytać i pisać babie, lub ohydnemu parobkowi, uchodzącemu za znachora, aniżeli prawdziwej wiedzy, jaką posiadają lekarze i doktorzy. W razie ciężkiej choroby, wypadku jakiegoś lub kalectwa — dokąd się udać? Do znachora. Gdy nieszczęście jakie nawiedzi dom lub spotka członka rodziny — kto da na to radę? Któż, jak nie wróżka!

Cóż to są za znakomitości te wróżki, ci znachorzy i wróżbici? Jakimi środkami „ratują" oni nieszczęśliwych?

Odczynianie uroków, palenie różnych ziół, zjadanie tuczonych kotów, smalenie sierści z ogona myszy, złapanej na kawałku sadła,

zakopywanie kołtunów pod progiem domu wraz z pewną sumą pieniędzy (naturalnie dla znachora), łowienie nietoperzy i zakopywanie ich nocą w garnkach niepolewanych, łykanie węgli z pomadą i migdałami i setki innych błazeństw — oto są „niezawodne“ środki, obliczone na wyzysk niedoświadczonych biedaków, z których niejeden chory, czy „oczarowany“ prędzej przenosi się na tamten świat, niż mu się należało.

Wróżki i znachorzy w wiekach średnich uciekali się do jeszcze podlejszych środków, bo gdy nie mogli uzdrowić chorego swoimi „lekami“, zwalali wówczas winę na tę lub inną „czarownicę“, upatrując w tym celu jakąś Bogu ducha winną starowinę i tę wykazywali, jako sprawczynię nieszczęść. Ciemny tłum nieraz rzucał się na taką czarownicę i mordował ją wśród strasznych męczarni.

Teraz, chociaż tłum ciemny nie mści się, nie morduje rzekomych sprawców swych nieszczęść, lecz po za tem — czy daleko postąpiliśmy naprzód? Niestety, nie! Gdy się jakiemuś zagrodnikowi nie obrodziło zboże lub je grad wybił, gdy krowy mało mleka dają, kury się nie niosą — znachor lub wróżka, pytani o poradę, nieraz wskazują, jako winowajców, osoby, które dla jakichbądź powodów uważają za przeciwne sobie... i przychodzi do zemsty doraźnej, wywartej w jakibądź sposób na „winowajcy“.

Tak jest na wsi. Niewiele lepiej dzieje się i po miastach. Chociaż tu najbiedniejsze i najciemniejsze tylko warstwy udają się po porady w takich sprawach, jak wyżej opisane, jednak nie brak tu i innych specyalistów — „proroków“, którzy za wysoką nieraz opłatę, „jak na dłoni“, wykazują całą przyszłość płacącego. A że płacących, czyli innemi słowy głupich, nie brak — najlepszym tego dowodem świetne interesy, które robią na naiwności ludzkiej tacy prorocy. Niema chyba łatwiejszego sposobu zarobkowania, byle mieć trochę sprytu i wymowy, jak „przepowiadanie przyszłości“. Zanim taki, co zapłacił za to, przekona się, że niemiłosiernie okpiono go — wróżbita już dawno pojechał gdzieś w świat szukać nowych ofiar.

Prorocy ci nie gardzą przy sposobności i dawaniem rad na wzór wiejskich znachorów. Czy przyjdzie doń młodzieniec, który utracił względy swej ukochanej, czy dziewczyna, zawiedziona w miłości, czy nawet starsza jakaś osoba, która coś zgubiła lub chce się prędko dorobić majątku — dla wszystkich, nawet dla chorych, znajdzie taki szarlatan niezawodną radę, która im... nic nie pomoże...

Tysiące rubli toną w kieszeniach tych pijawek, udających zbawicieli cierpiących, dających szczęście i bogactwo szukającym ich

porady, chociaż sami, posiadając swe niezawodne środki, żądają za nie pieniędzy. Bo przecież, gdyby istotnie posiadali tę moc jasnowidzenia, gdyby ich porady przynosiły bogactwo i szczęście innym, dlaczegożby najpierw nie uszczęśliwili samych siebie, bez wyłudzania i wysysania pieniędzy z naiwnych?...

Strzeżcie się wszystkich takich szarlatanów! Wie o tem każden chyba, że tylko Bóg jeden jest mocen stanowić o losie i przyszłości człowieka — słyszeliście przecież o tem nieraz z ust księdza podczas kazania — jednak to niewiele oddziaływa na ciemne, ogłupiałe jednostki, które nie słuchają słów prawdy, ale jak ćmy nocne do światła, cisną się do nór i znoszą swoją krwawicę za kopę wypowiedzianych głupstw.

Rzadko też kiedy wychodzi na jaw oszustwo tych znachorów i wróżbiarek, bo wielu oszukanych, przekonawszy się o swojej głupocie, wstydzi się do niej przyznać. Były jednak wypadki, że wytaczano w sądzie sprawę z tego rodzaju oszustwa i wówczas dopiero ujawniało się, jak bezdenną jest głupota ludzka. W jednym wypadku okazało się, że u pewnej dziewczyny wiejskiej baba wróżbiarka wyłudziła ogółem 150 rb. gotówką i nic dla niej nie zrobiła. A ileż to podobnych wypadków zdarza się po naszych wsiach i miastach!

Miłość młodzieńca, czy dziewczyny zdobyć można tylko wzorowem, uczciwem prowadzeniem się; majątek—pracą i oszczędnością; przyszłość zaś człowieka leży w ręku Boga i On jeden może stanowić o naszym losie, ale nigdy jakaś baba oszustka lub kudłaty, brudny znachor, nieumiejący nawet podpisać swego nazwiska.

Ludu nasz kochany! strzeż się, jak ognia, tych wszelkich wróżek, znachorów i proroków; szukaj prawdy w uczciwych pismach i książkach, a nie zanoś swojego krwawego grosza zwykłym złodziejom, którzy ci nietylko nic nie pomogą, lecz jeszcze wyśmieją twoją głupotę. Niech cię nie dziwią rozmaite „czary“ i sztuczki, wyprawiane przez nich, bo to tylko mydlenie oczu, a nie żadna siła nadprzyrodzona!

Precz więc z oszustami i wróżbitami, bo dawno już na to czas!

Sprawa domu polskiego w Jeruzalem. Zeszłego roku w dziennikach polskich podjęta była sprawa ks. Pińciurka, założyciela domu polskiego w Jerozolimie, w którym przybywający do Ziemi Świętej pielgrzymi polscy mogli znaleźć schronienie. W sprawie tej „Katolik Bytomski“ otrzymał z Palestyny od pewnego szanownego obywatela (lecz nie od ks. Pińciurka) następujące wyjaśnienia:

Jako Polak, będący długie lata w Ziemi Świętej, znając stosunki różnych narodów na wschodzie i tułactwo swoich ziomków pośród nich, jestem prawie zmuszony napisać sprostowanie informacyi, jaką podał O. Rittner. O co chodziło O. Rittnerowi? Ponieważ on jest Niemcem i gorliwie popiera swoich (czego mu się za złe nie bierze), więc może niechętnie widzi ognisko polskiego rozwoju w Jerozolimie, które to ognisko roznieca ks. Pińciurek.

Przeto proszę, kto chce prawdę wiedzieć, niech dobrze uważa. Kontrakt, który zawarł ks. Pińciurek z panami Banab, w sprawie kupna od nich domu, ma datę dnia 13 marca 1908 r. Kontrakt ten jest zatwierdzony przez konsula w Jerozolimie. Więc niema żadnej wątpliwości; rzecz jest prawdziwa, że ks. Pińciurek kupił dom i oddał go na schronisko dla Polaków zaraz w marcu 1908 r.

Po tem zakupieniu udał się ks. Pińciurek do Warszawy, i tam dom ten zapisał na rzecz Konfraternii Literackiej dnia 8 lipca 1908 roku, aby tym sposobem zapewnić istnienie Polskiego Schroniska w Jerozolimie. Uważajcież tu, że O. Rittner pisał o wiele później, bo dopiero w lipcu 1908 r. gazeta nasza to ogłosiła. Dom już był wtedy kupiony i pielgrzymi w nim zamieszkiwali, jak wykazuje data i nazwiska w albumie, który się znajduje w tym domu, i w którem wpisują się pielgrzymi, kiedy kto przybył i w tym domu zamieszkał. Dnia 24 marca 1908 r. przybyli do Jerozolimy i w domu ks. Pińciurka zamieszkali pp.: Klemens Kołodziej z Pszowa, Fr. Kubik z Pszowa, J. Antończyk z Władysławowa, M. Kotylba z Rybnika, M. Arędarski z Drugnian, P. Kulik z Drochiczyna, W. Swatowski z Hrubieszowa, A. Trocholewicz z Białej, Z. Migulski z Brzezin, J. Romanowski z Brońska, Anna Dudzik z Zawalowa, St. Jończyk z Petrzburga. Dnia 16 maja 1908 r. przybyli pp.: J. Datkus z Wilkowyszki, P. Prużynis z Wilna, A. Buczyński z Kijowa, ks. Stanisław Szczęsnowicz z Augustowa. Z datą późniejszą ks. Józef Wolla Dominikanin, z Roguzia w Dalmacyi, p. dr. Kostkiewicz Zygmunt, sędzia z Jasła w Galicyi.

Niech to wystarczy na wyjaśnienie prawdy, że ks. Pińciurek nabył dom ze swojej mozolnej pracy, ponieważ zrobił wielki nakład różnych książek, obrazów i tym podobnych przedmiotów, rozesłał to swoim znajomym, aby sprzedawali, a pieniądze doręczali na urządzenie Schroniska dla Polaków w Jerozolimie. Jeżeli zaś pisano w gazecie, aby pieniędzy (za książki i obrazy Pińciurkowego nakładu) nie przysyłano ks. Pińciurkowi, ale odsyłano na inne kościoły i klasztory, to taki czyn jest „zatrzymanie zapłaty robotnikom“ czyli przyswojenie cudzego mienia.

Ks. Pinciurek ogłaszał także w gazetach, nawołując, aby ratować cenny kawałek ziemi w Jerozolimie dla polskiego posiadania, za pieniądze Polek S. Brzozowskiej i ks. Filipowicza, lecz prawdopodobnie ziemi tej nie można będzie uratować, z powodu niemożliwości odszukanio Adama Orłowa, tabelowego właściciela, na którego ziemia ta jest zapisana w urzędzie tureckim. — Rzecz ta niewiele obchodziła ks. Rittnera. — Należy też i to podkreślić, że zakon nie naznaczył tu zakonnika Polaka, ale Niemca, także dla Polaków!

Ks. Pinciurek, widząc, że pieniądze za jego pracę, to jest za książki i obrazy, są gdzieindziej odsyłane, napisał do pism warszawskich, upraszając swoich znajomych, aby wszelkie należności odsyłano do zarządu Archikonfraternii Literackiej, gdzie jest na to ustanowiona osobna kontrola, aby dochód był oddany na cel Polskiego Schroniska w Jerozolimie. Do tej Archikonfraternii podał adres: Jan Wielicki, Warszawa, ul. Ogrodowa 23, dom Archikonfraternii Literackiej. Wysyłających pieniądze uprasza, aby dopisywali, za jakie przedmioty wysyłają pieniądze, a recepis pocztowy zachowywali, jako pokwitowanie od wysłanych pieniędzy.

Ks. Pinciurek o ofiarach na cel Schroniska wcale nie wspomina, może dlatego, aby się przeciwnicy uspokoili i może się spodziewa, że za książki i obrazy zbierze na wypłacenie długów, zaciągniętych na kupno domu przeznaczonego na Schronisko dla Polaków w Jerozolimie.

W domu ks. Pinciurka, w owem Schronisku, gospodarka nie jest ostatnia, chociaż w niedostatku, ale przynajmniej jest to, że jest w duchu polskim urządzona. Nade drzwiami jest korona królewska z trzema herbami: Polski, Litwy i Rusi. W salonie na ścianie wisi mapa ziem polskich, a nad nią są portrety wszystkich królów polskich. Biblioteka nie jest najgorsza. Są tam polskie gazety z Europy i z Ameryki. W jednym pokoju urządzona jest kaplica Matki Boskiej Częstochowskiej, obraz Królowej Korony Polskiej i Świętych Patronów Polskich; tam się zbierają wszyscy Polacy na wspólne modlitwy; wieczorem o godzinie 7-ej odmawiają cząstkę Różańca o Najświętszej Pannie Maryi i litanię do Matki Boskiej.

Chcę być odpowiedzialnym za to, sprostowanie informacyi co do domu Polskiego Schroniska w Jerozolimie i za to, co tu napisałem, przeto podaję swój dokładny adres — i t. d. *F. O.*

Przemysł ludowy. Przemysł ludowy, to deska ratunku dla całej klasy rolniczej — pewna, a może jedyna.

Rozwój przemysłu ludowego (domowego) jest potrzebą zarówno materyalną, jak umysłową; bez zaspokojenia jej nie dźwignie się stan włościański z dzisiejszego stanu swego — ze stanu niedoli.

Pomyślny rozwój przemysłu ludowego wymaga koniecznie opieki rozumnej, pilnej ze strony społeczeństwa, ze strony inteligencyi.

Potrzebne są szkoły, potrzebni są instruktorzy i t. d.

Jednem z głównych zadań Towarzystwa Popierania Przemysłu Ludowego w Królestwie Polskiem jest prowadzenie szkół zawodowych. Uczniowie tych szkół zostają po ich ukończeniu instruktorami danego przemysłu, czy to stałymi, po warsztatach prywatnych, zakładanych przez Koła, Spółki lub osoby pojedyńcze, czy też wędrownymi, których zadaniem jest szerzyć i rozwijać przemysł ludowy od gminy do gminy.

Takich szkół zawodowych Towarzystwo obecnie prowadzi 4.

1) Szkołę tkactwa i wiejskiego gospodarstwa domowego dla włościanek w Kruszynku, koło Włocławka.

2) Szkołę koszykarstwa w Nałęczowie, gub. lubelskiej.

3) Szkołę zabawkarstwa w Nałęczowie.

4) Od 1-go grudnia 1908 r. szkołę tkactwa dla mężczyzn w Oryszewie, niedaleko Żyrardowa (przeniesioną ze Stanisławowa).

Nauka we wszystkich tych zakładach jest zupełnie bezpłatna. Przy każdej z tych szkół, Towarzystwo prowadzi internat. Jest on niezbędny chociażby dlatego, że szkoła nigdzie na samą młodzież miejscową liczyć nie może. Zajęcia około roli, odrywałyby ją od szkoły przez sześć miesięcy, od maja do listopada. Dla młodzieży zaś ze stron dalszych pochodzącej, niezbędnem jest dać jej dach, pożywienie i opiekę. Utrzymanie w tych internatach kosztuje 7 rubli miesięcznie.

Już po sześciu miesiącach, uczniowie wykształciwszy się odpowiednio, zaczynają zarabiać. Po dwóch latach pracowici i zdolni opuszczając zakład, mają fach w ręku, który ich utrzymać może.

Jako instruktorzy zawodowi, czy to stali, czy wędrowni, pobierają po 25 rb. miesięcznie przy całkowitem utrzymaniu. Wstępując do tych szkół, powinni liczyć przynajmniej 16 lat wieku, umieć czytać, pisać i znać cztery działania arytmetyczne. Powołanie instruktora zawodowego, jest karyerą łatwo dostępną, zabezpieczającą przyszłość pożyteczną dla niego i dla innych. Jeśli nawet uczeń po ukończeniu szkoły woli wrócić do pracy na własnym zagonie, to ma w ręku źródło dodatkowego dochodu z pracy, podczas późnej jesieni i zimy, kiedy szczególniej małorolni innego zajęcia w chacie swojej nie znajdują.

We wszystkich internatach Towarzystwa, miejsca jeszcze wakują. Zgłaszać się z zapisami należy do Zarządu Towarzystwa Przemysłu ludowego, Warszawa, Krakowskie Przedmieście Nr. 5, od godziny 10-ej do 12-ej, albo do Zarządu samych szkół.

Zapisy pzzyjmują się przez cały rok, najlepiej jednak wstąpić do szkół tych z początkiem jesieni. Wszystko, co powiedziano wyżej, stosuje się do szkoły tkackiej w Oryszewie i do szkół: koszykarskiej i zabawkarskiej w Nałęczowie. W Kruszynku warunki są odmienne; przyjmuje się uczennice jedynie z początkiem roku, opłata za internat wynosi miesięcznie tylko rubli 5.

Narzekamy, że na małym działku gruntu, włościanin przy usilnej pracy nie jest w sanie wyżywić siebie i rodziny. Powinien on więc koniecznie poszukać źródła dochodu dodatkowego, ale do takiej pracy dodatkowej trzeba się przygotować, trzeba się jej nauczyć. Towarzystwo Przemysłu Ludowego wskazuje i uprzystępnia doń drogę.

Błogosławiony Klemens Dworzak-Hofbauer, zakonnik polski. W bazylice świętego Piotra w Rzymie odbyła się w dniu 20 maja r. b. kanonizacya zakonnika polskiego — Klemensa Maryi Dworzaka. W uroczystościach, związanych z kanonizacyą Świętego, uczestniczyły tysiące wiernych, a także polska pielgrzymka z Warszawy. Cały świat katolicki radośnie powitał nowego świętego, który za życia głosił zasadę, że każdą chwilę wolną od zajęć naszych obowiązkowych powinniśmy poświęcić modlitwie.

Urodzony w roku 1751, na Morawach, Klemens był najmłodszym z pięciorga dzieci ubogiego rolnika Pawła, przezwanego przez Niemców Hofbauerem, gdyż polskiego brzmienia jego nazwiska Dworzak znieść nie mogli.

Mając niespełna osiem lat, postradał ojca. Zrozpaczona, lecz bogobojna matka, która pozostała prawie bez środków do życia, wzięła wtedy najmłodszego z swoich synów na rękę i zaniósłszy przed wizerunek Ukrzyżowanego, rzekła:

— Patrz, oto odtąd ten miłosierny Pan będzie twoim Ojcem, tak się więc nadal zachowaj, ażebyś we wszystkiem Jemu się podobał.

Wzruszony chłopczyna rozpłakał się, złożył ręce do modlitwy i z miłością wpatrzył się w święte oblicze Chrystusa na krzyżu.

Zdawało się, że od tej chwili poświęcił się na służbę Bożą.

Ubogi chłopczyna, bez środków do życia, bez nauki, w dwunastym roku życia idzie na posługę do opactwa Bruckiego i tam

wśród pracy w piekarni klasztornej, w wolnych chwilach uczy się pilnie czytać i pisać. Zwróciło to na niego uwagę przełożonych, którzy widząc tak niezwykłą chęć jego do nauki, pozwolili mu uczęszczać do szkoły miejscowej.

W czas jakiś, jako czeladnik piekarski, udał się Klemens do



Błogosławiony Klemens Dworzak-Hafbauer, zakonnik polski.

Wiednia, aby szukać zarobku. Było to w roku 1782, gdy Ojciec Święty Pius VI gościł cały miesiąc w Wiedniu.

Gdy pobożny Klemens ujrzał Najwyższego Pasterza, taką rozgorzał chęcią poświęcenia się stanowi kapłańskiemu, że nic go już od tego odwieść nie mogło. Jakoż przedsięwziął podróż do Rzymu

i tu wstąpił do zgromadzenia ojców Najświętszego Odkupiciela, czyli zakonu Redemptorystów, których zadaniem szerzenie słowa Bożego za pomocą tak zwanych Misyi, czyli Rekolekcyi.

Wyświęcony na kapłana, błogosławiony Klemens został wezwany do Wiednia, a następnie do Warszawy. Tu, zaskarbiwszy sobie względy króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, został przełożonym klasztoru świętego Benona na Nowem Mieście. Wkrótce zasłynął, jako nauczyciel i opiekun ubogiej dziatwy. Nie szczędził sił, ani starań, nie szczędził zdrowia i życia, aby dziatwie, pozbawionej opieki dać pomoc i naukę. Czy to na ulicy, czy w kościele, czy podczas walki, gdy jenerał rosyjski, Suworow, zdobywał Warszawę, wszędzie i zawsze błogosławiony Klemens miał dobro dziatwy i jej duszyczek na celu. Podobnież postępował i wśród ubogiej ludności miejskiej, wkrótce też nazwano go Apostołem miasta Warszawy.

Po zniesieniu zakonu księży Benonów, za rządów pruskich w Warszawie, w roku 1808, błogosławiony Klemens opuścił nasz gród i przeniósł się do Wiednia, gdzie zmarł w roku 1820 i tamże pochowany został. *St. G.*

Na kościół w Nowogródku. Komitet wykonawczy odnowy kościoła w Nowogródku ogłasza następującą odezwę:

„W Nowogródku, prastarej Litwy stolicy, z pomiędzy pozostałych zabytków przeszłości, tuż obok ruin zamku księcia Mendoga, stoi kościół farny, jako świadek nieubłagany zobojętnienia Korony i Litwy na to wszystko, co dla każdego musi być drogiem. A fara podwójnie jest drogą i dla Polaka i dla Litwina i jako kościół i jako skarbnica przeszłości pamiątek.

Ciekawy dziejów Nowogródka, albo amator-turysta z kronik miejscowych wyczyta, że fundatorem tego kościoła był Witold, wielki książę litewski. W tej świątyni, przed laty z całą paradą i pompą odbył się ślub króla polskiego, Władysława Jagiełły z Sońką, księżniczką kijowską. O pomniku 12-tu Nowogrodzian, sławnych z wyprawy chocimskiej, któż nie wie? oni polegli, a Rudomina tablicę tutaj im wmurował. A Adam Mickiewicz, nasz wieszcz, nasza wielkość i chluba, gdzież był ochrzczony?... Ma Nowogródek jeszcze i inne pamiątki religijno-narodowe, których nie miejsce tu wymieniać.

Tak się przedstawia fara w pobieżnem świetle przeszłości.

A teraz? Obraz rozpaczy i nędzy! Serce się krwawi. Nadwątlone ściany fary porosły krzewami, dach jak rzeszoto, sklepienia

pozpadały, ołtarze zrujnowane!!! I czegóżeśmy wobec tego warci? Czy to tak się szanuje i przechowuje pamiątki religijno-narodowe? Cóż powie o nas historya? Co powiedzą innowiercy?

Co smutne wypadki 63-go roku i krok w krok za niemi idące wyjątkowe na Litwie i Rusi prawa zniszczyły, to naprawić naszego społeczeństwa jest świętym obowiązkiem.

Czasy obecne, dzięki tolerancyi religijnej, zmieniły się na lepsze; co jutro będzie, nie wiemy, korzystajmy więc z chwili.

Na chęciach Nowogrodzianom nie zbywa, brak im tylko pieniędzy, a trzeba ich około 30,000 rubli.

Zważywszy to wszystko, mamy nadzieję, że i Korona i Litwa, Wołyń i Białoruś, Poznańskie i Galicya, zechcą dołożyć swój grosz wdowi do tak świętej sprawy.“

Z Cieszyna, ze Śląska. W d. 6-ym czerwca r. b. „Dziennik cieszyński (Nr. 127) ogłosił odezwę głównego zarządu szkolnego Macierzy Księstwa Cieszyńskiego, w której przypomniał, że z uwagi na wielkie potrzeby tutejszego szkolnictwa kresowego i wyczerpujące się wciąż środki, „czcigodny, serdeczny i wypróbowany przyjaciel ludności polskiej na Śląsku, mecenas Antoni Osuchowski z Warszawy, już w początku marca r. b. wystąpił z myślą zbierania „daru grunwaldzkiego“ na rzecz cieszyńskiej Macierzy szkolnej, aby jej w ten sposób zapewnić stałe i wydatne poparcie w spełnianiu nadal równie ważnych, jak trudnych zadań, które sobie wytknęła.“

Jakoż niema nic słuszniejszego nad ten pogląd, aby echo wielkiego w dziejach naszych czynu samoobrony odezwało się przedewszystkiem na tem polu, na którem znów wypada nam odpierać nawałę germanizmu. Po pięciu wiekach bój, choć toczy się innemi, zdałoby się, szlachetniejszemi środkami, niemniej jest uparty, zacięty i „śmiertelny“. I dziś są jeszcze „komturowie“, podobni do tucholskiego Henryka „co to ślubem rycerskim kazał nosić przed sobą dwa gołe miecze, aby je w polskiej zrumienić jusze“ (Szajnocha). I dziś są tacy, którzy marzą, kiedy to stary obyczaj polski i mowa polska zostaną tak gruntownie wyrwane z ziemi z korzeniem, iżby już więcej nigdy zazielenić się nie mogły. I dziś wypada nam na własnej ziemi zajmować stanowisko wyłącznie obronne i stawać piersią pod osłoną szkoły, aby nie paść, jak „zżęte na polu kłosie“. Jeśli zaś sądzono, aby *justissima Dei permissione*, jako ongi rzekł mnich niemiec, Peter Waynknecht, powtórzyć się miał „Grunwald“ w innych naturalnie warunkach, wypada z góry gotować dla niego stosowne środki. Jeśli zaś ogólnie uznano, że miast uroczystych

a kosztownych obchodów, najgodziwiej będzie zgromadzić pamiątkowy dar grunwaldzki na szkoły kresowe, tedy nie należy zapominać przedewszystkiem Cieszyna, ku któremu zwracała się pierwsza inicyatywa czcigodnego mecenasa Osuchowskiego i który stoi w pierwszym szeregu szyku obronnego, zwróconego piersią przeciw nawale germanizmu.

To wszystko przypomina odezwa, zamieszczona w „Dzienniku cieszyńskim". Powiada ona:

„Śląsk, stanowiący zachodnie kresy narodu, ma stanowisko i znaczenie wyjątkowe. Tu się koncentruje główny napór niemczyzny, tu najbardziej i najsystematyczniej wytęża swe siły w celu wynarodowienia ludności polskiej, tu wreszcie jest podstawa operacyjna dalszych zagonów germańskich, jak o tem świadczy nowe stowarzyszenie niemieckie: *Deutscher Karpatenbund*, obejmujące Śląsk, Galicyę i Bukowinę. Wysoce znamiennym w tym kierunku jest tegoroczny zjazd niemieckiego *Schulvereinu*, odbyty jednocześnie w śląskim Bielsku i galicyjskiej Białej.

W toczącej się u nas, nad wyraz ciężkiej i nieprzepartej walce — nietylko o kresy — rola nasza jest z natury rzeczy czysto obronna. W szkołach naszych niema dzieci niemieckich, w szkołach niemieckich natomiast, prywatnych i publicznych, szczególniej w miastach, jest dzieci polskich z pewnością 90°/₀. Lecz i na obronę skuteczną brak nam środków. Z głęboką boleścią patrzyć musimy, jak lud nas, lud rdzennie polski, w wielu okolicach ginie, nie już setkami, ale tysiącami, bo mu nie możemy dać pomocy, choć nas o nią usilnie i gorąco proszą, bo siły nasze nie starczą.

Podstawę silniejszego i pewniejszego rozwoju, a zarazem i możność szerszego działania ma dać Macierzy i dać jej może dar grunwaldzki. Spełnienie myśli czcigodnego jej inicyatora poprzeć należy tedy całą siłą, jak najgoręcej."

W dalszym ciągu odezwa zaznacza, iż w pierwszym rzędzie powinien sam Śląsk „dowieść czynem", jak wysokie znaczenie przywiązuje do zadań i celów „Macierzy". Ale Ślązak jest biedny i przy najlepszej woli nie sprostałby zamierzeniom, któreby mogły się choć w części przeciwstawić „darowi Rohrmana", przeznaczonemu w sumie 300,000 koron dla niemieckiego szkolnictwa. A jednak akt ten wymaga z naszej strony odpowiedzi, nie mówiąc o tem, że fundusz podobny położyłby trwały fundament pod istnienie Macierzy cieszyńskiej. Śląsk zresztą rąk nie zakłada. Dotychczas zadeklarowano lub częściowo złożono fundusz 12,650 koron, co, uwzględniając

warunki miejscowe, stanowi sumę poważną. Jednakże nie obejdzie się bez szerszej pomocy współrodaków.

Galicya zbiera także „dar grunwaldzki“ na Towarzystwo szkoły ludowej, ale nie sądzimy, aby jedna akcya wchodziła drugiej w drogę. Owszem, spodziewać się należy, że z daru galicyjskiego dostanie się poważna pomoc: i Śląskowi, ale nie może wyrzec się akcyi własnej choćby dlalego, że organizacya szkół Śląska cieszyńskiego nie może zależeć od dalszych organów, lecz powinna się koncentrować w rękach najbardziej powołanych do tego żywiołów miejscowych. Więc też nie tracimy nadziei, że rocznica Grunwaldu nie minie bez hojnego wspomożenia naszej szkoły i że zapewni jej byt trwały, jako placówki przeciw germanizmowi.

Zresztą nie jest to jedyna rocznica, która mogłaby stanowić motyw i impuls do podniecenia opinii, która jednak potrzebuje takich ubocznych bodźców. Oto w roku przyszłym przypada 25 lat od chwili założenia „Macierzy cieszyńskiej“, a jednocześnie 1100 lat od legendowego założenia Cieszyna. Należałoby i te rocznice stosownie wyzyskać dla dobra sprawy.

Tymczasem oczy nasze zwracają się ku wszystkim, w tem przekonaniu, że nie braknie nikogo, ktoby się uchylił od obowiązku i uczestnictwa w nowej „grunwaldzkiej potrzebie“. Pamiętamy zaś dobrze, że w ostatniem sprawozdaniu „Macierzy śląskiej“ — Warszawa, jako zawsze troskliwa, kiedy chodzi o oświatę, *Alma Mater*, „Macierz żywicielka“ — figuruje z darem najhojniejszym...

Ohyda. O iście barbarzyńskim czynie, spełnionym w tych dniach w Świętokrzyskiem, dowiaduje się „Gazeta Radomska“. Oto trzech jakichś jegomościów, bawiących w okolicach Świętokrzyskich, a przybyłych podobno ze Sławuty, w dzikim jakimś szale uszkodziło znacznie zagadnkowy posąg legendowej postaci kamiennej, która stoi od wieków w pozie klęczącej przy drodze z Nowej Słupi do świątyni na Łysej-Górze. Prawdziwi ci wandale nowocześni poobtłukiwali kamieniami już niewyraźną twarz posągu i kawałek boku z jedną z rąk, złożonych, jakoby do modlitwy. Poobtłukiwane kawałki wręczyli małemu pastuszkowi, polecając mu odnieść je do proboszcza.

Wybryk ten barbarzyński oburzył do żywego ludność całej okolicy, która pamiątkę zamierzchłej przeszłości otaczała pieczołowitością i szacunkiem.

Pięćdziesięcioletni jubileusz przełożonej SS. Urszulanek w Krakowie. Kilkaset kobiet z różnych dzielnic dawnej Polski zebrało się w dn. 7-go i 8-go maja w Krakowie, celem uczczenia półwiekowej pracy przełożonej SS. Urszulanek w Krakowie, matki Stanisławy Sułkowskiej. Byłe wychowanki z trzech pokoleń obecnością swoją dały dowód, że ziarno, posiane matczyną dłonią jej kierowniczki, przyjęło się należycie.

Przemawiały przedstawicielki z Królestwa, Księstwa Poznańskiego, z Galicyi. Jako przedstawiciel byłego ciała profesorskiego,



Przełożona SS. Urszulanek, Stanisława Sułkowska, w Krakowie.

przemawiał czcigodny profesor Stanisław Smolka. Jedna z obecnych pensyonarek wygłosiła specyalny wiersz L. Rydla, poświęcony jubilatce. Uroczystość miała charakter nader podniosły. Zbratała ona kilkaset kobiet z różnych części Polski w czci dla świetlanej postaci przełożonej SS. Urszulanek.

✝
ś. p.

Apolinary Wnukowski,

ksiądz Metropolita Arcybiskup Mohylowski.

Zmarł w Petersburgu, w dniu 3 czerwca 1909 r. o godz. 8 wieczorem.

Żałobna wieść obiegła kraj nasz, jak długi i szeroki, przenikła we wszystkie zakątki, wszystkim łzy z oczu wycisnęła, serca boleśnie ścisnęła. Oddał Bogu ducha ś. p. ks. Apolinary Wnukowski, Arcybiskup Mohylowski i Metropolita kościołów katolickich w Cesarstwie rosyjskiem.

* * *

Ś. p. ks. Metropolita urodził się w r. 1848 na Podolu, z rodziców Macieja i Maryi z Wojnarowskich. Początkowe nauki pobierał w domu rodzicielskim, następnie uczył się w Kamieńcu Podolskim, gdzie po złożeniu egzaminu z nauk gimnazyalnych wstąpił do miejscowego seminaryum za czasów biskupstwa ks. Antoniego Fijałkowskiego, 10 lutego 1865 roku.

Po dokonanej w r. 1866 kasacie kamienieckiej dyecezyi i seminaryum, przeniósł się w r. 1867 dla dalszego kontynuowania studyów do seminaryum łucko-żytomierskiego, gdzie biskupem był podówczas ks. Kasper Borowski.

Po skończeniu seminaryum w r. 1870 był wysłany do dalszego kształcenia się do Akademii duchownej w Petersburgu, którą ukończył w r. 1874, otrzymawszy stopień Magistra świętej Teologii. Będąc jeszcze na studyach w Akademii, wyświęcony został na kapłana w dniu 15 czerwca 1872 r. przez ówczesnego Metropolitę Arcybiskupa Mohylowskiego, Antoniego Fijałkowskiego. Powróciwszy w 1874 r. do Żytomierza, ks. Wnukowski mianowany został profesorem języka łacińskiego w seminaryum; wykładał też chwilowo „Obrzędy i śpiewy“, później znowu „Historyę Kościoła“ i „Pismo



Ś. p. ksiądz Apolinary Wnukowski, Metropolita Arcybiskup Mohylowski.

święte“ aż do chwili zamknięcia tego seminaryum w dniu 9 listopada 1876 r.

Po zamknięciu seminaryum, zamieszkawszy przy kościele katedralnym, pełnił obowiązki: wikaryusza katedralnego, wice-dziekana i obrońcy Sakramentu małżeństwa w sprawach rozwodowych.

W r. 1878 dnia 10 lutego otrzymał przyszły dostojnik Kościoła nominacyę na profesora adjunkta w Akademii duchownej w Petersburgu, ale wskutek choroby nie mógł przyjąć tego stanowiska, wobec czego ówczesny Metropolita, ks. Fijałkowski, przychylając się do prośby, zwolnił odezwą z d. 20 marca 1878 r. ks. Wnukowskiego od tego obowiązku.

W 1881 r. otwarte zostało seminaryum żytomierskie i w tym to roku mianowany został kanclerzem kuryi biskupiej, a w r. 1883 penitencyuszem katedralnym. Obowiązek kanclerza pełnił przez lat kilkanaście przy dwukrotnych rządach biskupa Lubowidzkiego i cały czas przy biskupie Kozłowskim.

W r. 1888 mianowany został kanonikiem honorowym żytomierskim, w r. 1891 asesorem konsystorza dyecezyalnego, zaś roku 1898 biskup Lubowidzki mianował go rektorem seminaryum dyecezyalnego i prałatem kapituły łucko-żytomierskiej. W seminaryum tymczasowo wykładał filozofię.

W r. 1904 Ojciec święty, Pius X, powołał ś. p. ks. Wnukowskiego na stolicę biskupią w Płocku.

* * *

Po zgonie Metropolity ś. p. Kłopotowskiego, Stolica Apostolska na katedrę metropolitalną mohylowską upatrzyła J. E. ks. biskupa Wnukowskiego. Skromny, cichy, wzdragał się ś. p. ks. Biskup z przyjęciem tego dostojeństwa, lecz wreszcie zdał się na wolę Namiestnika Chrystusowego i przyjął zarząd olbrzymiej metropolii.

Uroczysty ingres J. E. do kościoła katedralnego w Petersburgu odbył się w d. 6-ym grudnia 1908 roku.

Pierwszem dziełem zmarłego Metropolity było udzielenie sakry biskupiej J. E. księżom: Nowowiejskiemu, Cieplakowi i Denisewiczowi. Odrazu też wziął się J. E. do gorliwej pracy arcypasterskiej w Petersburgu i pierwszy wyjednał pozwolenie na dokonanie wizytacyi kanonicznej na Syberyi. Miał w podróż tę udać się osobiście, już ułożona została marszruta, rozpisana kurenda do proboszczów

syberyjskich, gdy pojawiły się groźne objawy choroby, które spowodowały zgon.

* * *

Kto znał bliżej ś. p. ks. Arcybiskupa, ten wie, jakiemi szczytnemi zaletami był on obdarzony: słodycz apostolska z ust jego płynęła, głęboka wiedza opromieniała rady jego, a tkliwa miłość ojczyzny przebijała z każdego jego przemówienia. Skarbił też sobie sympatyę ś. p. ks. Arcybiskup wszędzie, gdzie tylko był, a podnosił ducha wiary w dziwnie promienny sposób, tak, że pod czarem słów Pasterza znikała wszelka wątpliwość.

Dyecezya płocka, którą tylko lat cztery rządził, zawdzięcza zmarłemu Arcypasterzowi bardzo wiele pod każdym względem, a jak go tam kochano, świadczy pożegnanie, w którem pełno było chwil rzewnych i wzruszających.

Umarł człowiek wielkich zalet serca i duszy, kapłan wielkich zasług dla Kościoła i wiary, obywatel wreszcie wzorowy.

„W miłości wzajemnej jest zbawienie ojczyzny“ — mówił ś. p. Metropolita Wnukowski podczas jednych ze swych odwiedzin na Jasnej-Górze. „Niezgodą przyczynicie się do rozszarpania tego kraju“ — ostrzegał wiernych.

Cześć wieczna pamięci tego niestrudzonego pracownika dla chwały Bożej i zbawienia dusz ludzkich.

Nauka i zabawa.

Kobiety polskie w średnich wiekach. Wśród pierwszych kobiet, o jakich mówi nasza historya, występują dwie, o których wcale głośno wówczas było. Są to: Adelajda, „biała knegini“, siostra Mieszka I, a żona węgierskiego króla Gejzy, i córka Mieszka I, Zygfryda

Storrada. Adelajda podobno wykształconą była. Zasługą jej, że męża swego nawróciła na wiarę katolicką z pogaństwa. Przemożny wpływ wywierała ona na niego, tak, że cały rząd w państwie węgierskiem w jej leżał rękach. Dziwne o niej jednak rzeczy umieją powiedzieć współcześni. Po nad miarę podobno piła, jeździła na koniu po męsku; gdy raz gniewem zapłonęła, własną ręką zabiła człowieka. W późniejszej tradycyi przecież pamiętano więcej o jej zasługach, niż o czarnych stronach charakteru. Groźniej wyglądała Zygfryda Storrada. Nie wiemy, jakie ona miała imię w ojczyźnie. To, które nosi, na północy jej nadano, gdzie znaczną część życia spędziła, jako żona dwóch królów duńskich: Eryka, a potem Swena. Męski ma charakter, do walki skora, mściwa. Gdy po śmierci jej pierwszego męża wielu miała zalotników, chcąc się ich pozbyć, popoiła ich i potem pijanych spaliła. Stąd to „storradą“, czyli dumną ją nazwano.

Takie to były dawniej kobiety, gdy nauka Kościoła nie wpłynęła jeszcze na złagodzenie obyczajów i na uszlachetnienie charakteru niewieściego: siła je odznacza, śmiałość, nieraz okrucieństwo. I jeszcze później podobne spotykamy. Tak naprzykład, wnuczka Kazimierza Wielkiego, księżniczka szczecińska Elżbieta, w ręku łamała podkowy, rozdzierała pancerze, gięła metalowe naczynia. Za Kazimierza Jagiellończyka w powiatach śląskich, koło Oświęcimia, stoi na czele bandy rabusiów szlachcianka, Włodkowa, żona Włodka ze Skrzynna, i sama w napadach rozbójniczych przewodzi, tak, że okrzyk: „pani Włodkowa idzie!“ trwogę w tych stronach wzbudzał. Jeszcze król Aleksander kazał powiesić również szlachciankę, Rusinowską, za rozboje i napady; a powieszono ją w takim stroju, w jakim ją zwykle widywano — w butach z ostrogami.

Na szczęście z biegiem lat coraz mniej takich kobiet w Polsce, coraz rzadziej się pojawiają. Wpływ to Kościoła i jego nauki. Czego innego Kościół od kobiety wymagał, inne jej życie wskazywał jako takie, które kobieta chrześcijanka wieść powinna. Już druga żona Mieszka I, Oda, stara się o pomnożenie w Polsce ilości kapłanów, jeńców wykupuje i odsyła do ich ojczyzny, wyprasza więźniów z więzień. Podobnie znowu trzecia żona Bolesława Chrobrego, która niejednemu ocaliła życie, gdy go od śmierci u króla wyprosiła; rozdaje ona hojne jałmużny, odznacza się wstrzemięźliwością.

Ale wówczas takie kobiety nieliczne były. W miarę, im silniej cały naród wierzył, im przybywało kościołów, klasztorów, tem więcej i kobiet żyjących według przykazań Kościoła. Najwięcej ich

w wieku XIII, i to najpobożniejszych, tak, że kilka z nich Kościół katolicki za święte swoje ogłosił. Opisali współcześni ich życie, ich cnoty. Z tych ich żywotów dowiedzieć się możemy, jakie uważano życie za najlepsze, które za wzór dla innych kobiet stawiano.

Grzeszył człowiek uczynkami ciała, za grzeszne uważano więc ciało. Pierwszą rzeczą, o którą starają się kobiety te święte, to czystość ciała. Święta Kinga wyprosiła sobie od męża, Bolesława Wstydliwego, że całe życie w czystości z sobą spędzili; już wtedy złożyła profesyę świętego Franciszka, a po śmierci męża wstąpiła do klasztoru Klarysek w Starym Sączą, który ufundowała sama. Tam z nią również zamknęła się po śmierci męża jej blizka krewna, święta Salomea. Święta Jadwiga, gdy już spełniła swoje zadanie matki, dała synów swemu mężowi, księciu Henrykowi Brodatemu, unika męża, nie rozmawia z nim, jak tylko w kościele lub na publicznem miejscu, zawsze wobec świadków, i to, gdy szło o jakie dobre uczynki, sprawy klasztorów lub biednych. Umartwiają też te święte niewiasty swoje ciało. Wszystkie włosienice na ciele noszą, a nieraz pod włosienicą sznury z włosia, które aż w ciało się wpijały. Nie chcą używać szat drogich, lecz jak najskromniejsze, z chęcią jeszcze za życia mężów chodzą w chabicie zakonnym. Święta Jadwiga nie śpi, jak tylko na ziemi, pokrytej skórą, lub na twardej ławie, boso chodzi, aż rany się jej robią na nogach — dla umartwienia rzadko myje nogi! Biczują się często; święta Kinga używa do tego bicza z węzłami z żelaza. Poszczą też często i długo. Święta Anna, żona Henryka Pobożnego, od śmierci męża wogóle mięsa nie jadała. Toż i święta Kinga, która nawet i innych skłania, by do wieczora w wilie świąt niektórych nic do ust nie brali. Święta Jadwiga w niedziele, wtorki i czwartki poprzestaje na rybach i mleku, w poniedziałki i soboty je tylko suche jarzyny, w środy i piątki poprzestaje na chlebie i wodzie, a i to jeszcze chleb popiołem posypuje ku większemu umartwieniu.

Prócz umartwienia ciała starają się te święte niewiasty o to, by wzbudzić w sobie ducha pokory, zwłaszcza, że one przecie z panujących rodu pochodziły. Święta Anna razem ze świętą Jadwigą myją same nogi biednym, piorą suknie spowiedników swoich, czyszczą je z robactwa. Święta Kinga myje własnemi rękami naczynia w kuchni klasztornej, pali w piecu. Święta Jadwiga potajemnie naprawiała obuwie sług swoich, całowała ręce i nogi żebrakom, myła je nawet trędowatym, służyła biednym do stołu.

Czystość ciała i pokora, to jednak jakby dopiero szczeble do dobrych uczynków. Wszystkie one ogromnie pobożne, na modlitwie

spędzają wiele czasu. Święta Kinga przy modlitwie zawsze aż łzami się zalewa. Słuchają często mszy świętej, komunikują się. Hojne są dla klasztorów i kościołów. Niejeden im zawdzięcza swój początek. Tak, jak już wspomniano, święta Kinga fundowała Klaryski w Starym Sączą, święta Jadwiga wystawiła klasztór w Trzebnicy, gdzie sama z chęcią przesiadywała.

Pełne mają serce miłości i litości dla biednych. Żaden nie odejdzie od ich progu bez wsparcia. Święta Jadwiga osobną ma kuchnię dla biednych, a w czasie głodu raz wydała cały śpichrz zboża, a gdy zboża brakło, rozdawała, co było jeszcze, i ser, i słoninę, i sól, byle wspomódz nieszczęśliwych. Stale ona wozi ze sobą 12 chorych. Opiekują się dziećmi, dziewczętami zwłaszcza, by je za mąż potem wydać lub oddać do klasztoru. Nie zapominają o chorych i matkach. Zwłaszcza zaś opieką ich cieszą się najbiedniejsi ludzie ówczesnych lat — trędowaci. Świętą Kingę to raz, w Sandomierzu, nawet psami szczuto, chcąc przeszkodzić jej, by nie szła do trędowatych.

Takie to życie było ówczesnych kobiet, tych, które innym za wzór miały służyć. Nie siłą miały się odznaczać, lecz umartwieniem ciała, nie dumą, jak tamte, o których na początku była mowa, lecz pokorą. Całe ich życie miało być skierowane ku temu, by zapewnić sobie nowe, po śmierci, wieczne.

Nie wszystkie takie były kobiety. Trudnoby było od wszystkich wymagać, by miały tyle mocy nad sobą, do wyrzeczenia się wszystkich uciech świata. Nie zakazywał ich Kościół, byle te uciechy nie były grzeszne. Ale żądał umiarkowania, a w małżeństwie zwłaszcza wierności i słuchania męża.

Zmieniają się jednak czasy. Już po śmierci Kazimierza Wielkiego, gdy w zastępstwie króla polskiego, a zarazem węgierskiego, Ludwika, włada w Polsce żona tegoż, a siostra Kazimierza Wielkiego, Elżbieta, słychać nieraz o zabawach, tańcach, śpiewach. Częściej się spotykają mężczyźni z kobietami dla rozmowy, zabawy. Inne wzory stawiają kobietom, wzory dobrych matek, wychowujących synów na dzielnych ludzi, kochających ojczyznę — Polskę, za którą gotowe wszystko poświęcić. Lecz choć już nie żądano od kobiet takiego wyrzeczenia się świata, takich umartwień po nad siły, to przecież, aż do smutnych czasów królów saskich, gdy moralność tak bardzo podupadła, świeciły święte kobiety z XIII wieku przykładem zacności i pobożności.

Fryderyk II a kobieta polska. Gdy pewnego razu król pruski Fryderyk II, zwany niby „Wielkim“ (ten sam, który odbił od Austryi nasz Śląsk), siadał do powozu, aby jechać do Wrocławia, przycisnęła się do niego kobieta z Lubiesza pod Brzegiem, nazwiskiem Szlenzok i zagadała do niego głośno po polsku.

— Mówcie po niemiecku — zawołał król — tej paplaniny (Kauderwelsch) to i kaduk nie zrozumie.

Kobieta zaczęła łamanym językiem niemieckim, tak jak umiała, prosić króla, aby jej syna uwolnił od wojska, ponieważ nadarza mu się sposobność ożenku w dobrem miejscu. Fryderyk zaczął kobiecie tłómaczyć, z jakich powodów jej prośby uwzględnić nie może. Ona jednak, nie rozumiejąc, co król mówi, prosiła o wyjaśnienie w języku polskim. Gdy król odrzekł, że nie umie po polsku, rzekła kobieta śmiało:

— Jeśli chcecie być naszym królem, to musicie też umieć po polsku, aby was poddani wasi rozumieli.

— Tak, słuchajcie — odrzekł król spokojnie — gdy ja się uczyłem mówić, to wy jeszcze moimi poddanymi nie byliście. Adieu!...

Przybywszy do Wrocławia, kazał król do siebie zawołać znanego rektora wyższej szkoły, Arletiusa, bardzo uczonego, ale jak wówczas wielu nauczycieli było, w obejściu bardzo rubasznego człowieka, i zapytał go, czyby to było możliwe, aby on (król) mógł się jeszcze nauczyć po polsku, — na co rektor krótko odpowiedział:

— Królowie nie są zręczni uczenia się po polsku oni nawet nie mogą nauczyć się, jak się należy, po niemiecku.

Fryderyk, który dobrze czuł, jak błędnie mówił i pisał nawet po niemiecku (gdyż, jak wiadomo, ulubionym jego językiem był język francuski), wpadł z powodu tej odpowiedzi w zły humor, gdyż zakończył rozmowę następującemi słowy:

— Słuchaj, rektorze, ty jesteś bardzo uczonym człowiekiem, ale wielkim grubijaninem.

Co do owego, chcącego się ożenić żołnierza, to król tymczasem inaczej się namyślił; kazał bowiem syna owej kobiety polskiej uwolnić od wojska, z czego ta znów była tak uradowana, że posłała królowi w dowód wdzięczności przez swoją córkę pełen miech suszonych grzybów.

Pielgrzymka lubelska na Jasnej-Górze. Pomiędzy wielu kompaniami, które odwiedziły w ciągo ostatnich paru tygodni Jasną-Górę, zwróciła ogólną uwagę kompania z Lublina. Przeszło 1,600 osób przybyło do stóp cudownego obrazu Matki Bożej pod przewodni-

ctwem pięciu kapłanów, a mianowicie: ks. Stanisława Samorka, ks. Boratyńskiego, proboszcza z Czwartku, ks. Bednarka, wikaryusza parafii świętej Agnieszki na Kalinowszczyźnie, ks. Andrzeja Mazurkiewicza, wikaryusza z Lubartowa, wreszcie ks. proboszcza Feliksa Czyżewskiego z Piasków Luterskich. Orkiestra cukrowni „Lublin", pod dyrekcyą p. Stanisława Sobolewskiego, towarzyszyła pątnikom, przygzywając naprzemian ze śpiewem pieśni nabożne.

Pod Jasną-Górą powitał pielgrzymów serdeczną przemową O. Pius Przeździecki, nawołując do zgody, zachęcając do modłów o nawróceni zbłąkanych, o odrócenie ciosów, jakie grożą mieszkańcom dyecezyi Podlasko-Lubelskiej.

Podczas tego powitania przemówił i ks. Czyżewski, zaznaczając z żalem, że pielgrzymka ta może będzie ostatnią z ziemi lubelskiej w dotychczasowych jej granicach.

Po parodniowym pobycie w Częstochowie, w czasie którego pątnicy przystępowali do Sakramentów świętych i zwiedzali wszystko, co jest godnego widzenia w Częstochowie, powrócili do swoich siedzib z błogosławieństwem Matki Najświętszej na dalszą ciernistą drogę żywota.

W ciągu całego czasu tej pielgrzymki czcigodni kapłani niezmordowanie czuwali nad tą zacną gromadką wiernych, pełniąc obowiązki nietylko ojców duchownych przez udzielanie Sakramentów świętych, ale i opiekunów ciała, dbając o to, aby nikt nie doznał jakiejkolwiek krzywdy, lub nie cierpiał niewygody. W czem niósł kapłanom szlachetną pomoc pan doktór Włodzimierz Talko, który był uczestnikiem pielgrzymki.

Za pośrednictwem „Dzwonka Częstochowskiego" wszyscy uczestnicy pielgrzymki składają Czcigodnym Kapłanom, Opiekunom i Przewodnikom kompanii serdeczne „Bóg zapłać!"

Nowiny polityczne.

Źródło nieprzyjaźni angielsko-niemieckiej. Jak w średnich wiekach Włochy na czele cywilizacyi kroczyły, tak obecnie pierwsze miejsce wśród narodów kulturalnych zajmuje Anglia. Wyniesienie



Kompania z Lublina, u stóp Jasnej-Góry.
Fotografia „Dzwonka Częstochowskiego“.

swoje zawdzięcza trzem czynnikom: znakomitemu ustrojowi państwowemu, szczęśliwemu położeniu geograficznemu i bogatym koloniom zamorskim. Rozkwit kraju rozpoczyna się od czasów królowej Elżbiety.

Anglia jest Państwem różniącem się znacznie od innych państw w Europie. Na wyspie położona, była zawsze w dogodniejszych warunkach niż inne ziemie. Wyrósł na tej wyspie naród niezmiernie żywotny, dzielny i roztropny.

Z początku próbowała Anglia zawładnąć najbliżej od niej leżącym krajem francuskim. Gdy usiłowania te mimo stuletnich walk zawiodły, zwróciła się śmiało za morze i założyła tam swoje osady. W ostatnich dwóch wiekach zyskała ogromne posiadłości we wszystkich częściach świata. Własnością jej są Indye w Azyi, Kanada w Ameryce, cała Australia, Egipt, oraz całe południe Afryki. Kolonie te, urządzone bardzo umiejętnie, wzrastają w oświatę, a dla Anglii stanowią źródło bogactw. Mają bowiem w koloniach łatwy zbyt angielskie wyroby fabryczne.

Państwo króla Edwarda jest nawskroś przemysłowe. Rozwój w dziedzinie fabrycznej daje mu siłę i dobrobyt. Utraciłaby Anglia naczelne miejsce wśród narodów europejskich, jeśliby jej przemysł upadać począł. To też więc rząd starań nie szczędzi, żeby wytwórczość podnieść i rozszerzyć.

Długie lata właściciele przedsiębiorstw nie potrzebowali rządowej opieki. Brakło im bowiem współzawodników za granicą. W innych państwach przemysł znajdował się na nizkim stopniu. Anglia więc z ich uszczerbkiem pierwszą rolę odgrywała.

Lecz bieg wypadków tworzy zmiany. Otóż w roku 1870 Prusy zwyciężają Francyę, jednoczą pod swojem przewodnictwem niemieckie księstwa i królestwa i powołują do życia cesarstwo niemieckie. Nowe państwo staje się niebezpieczne nietylko dla Francyi, lecz w wysokiej mierze także dla Anglii.

Przed rokiem 1870 byli Niemcy rolnikami. Po wojnie zmieniła się postać rzeczy. Wywieźli Niemcy pięć miliardów z Francyi. Pieniądz ten rozszedł się wśród ludności. Rozpoczęła się ruchliwość w miastach. Powstały fabryki. Niemcy z ziemian zaczęli przeobrażać się w naród przemysłowy. Ponieważ na tem polu dotąd Anglia samowładnie panowała, zapragnęli jej berło wydrzeć z ręki.

Wprawdzie wyrób niemiecki co do dobroci równać się nie może z angielskim. Kupującemu dają Niemcy towar lichy i łatwo zepsuciu ulegający — Anglicy natomiast ofiarują wytwór rzetelny i trwały. Przecież mimo to wyroby niemieckie dla większej tanio-

ści są pokupniejsze. Odbiorca woli nabyć produkt tuzinkowy za nizką cenę, niż doborowy za wyższą zapłatą.

Otóż w tym drobnym fakcie, ściśle ekonomicznym, leży powód politycznej nieprzyjaźni niemiecko-angielskiej. Nie może Anglia pozwolić, żeby jej przemysł został zniszczony. Z drugiej strony Niemcy nie mogą rozwijać się, jeśli dla wytwórczości swojej nie znajdą zbytu za granicą. W tem jest źródło wzajemnej nienawiści!

Są nadto inne powody do starcia, naprzykład sprawa wschodnia: Przez posiadłości tureckie i koło brzegów tychże posiadłości, morzami idą drogi z Europy do Indyi angielskich. Przezornie więc śledzi Anglia, co w Turcyi się dzieje. Tymczasem na tę samą Turcyę od lat kilkunastu starają się Niemcy wpływ swój wywierać. Stąd walka Anglii z Niemcami o wpływy zobopólne w Carogrodzie. Zaprowadzenie konstytucyi w Turcyi podrywa wpływy niemieckie i podnosi znaczenie Anglii, lecz wkrótce potem następujące przyłączenie Bośni i Hercogowiny do Austryi znów zaczyna niepokoić Anglików. Po za Austryą bowiem widzi król Edward ukrywających się Niemców. Więc tajnemi siłami w rozgrywających się obecnie sprawach na Bałkańskim półwyspie, są znów dążenia angielskie i niemieckie.

Mimo zapewnień pokojowych, Anglia i Niemcy zdają sobie sprawę, że wątpliwe jest załatwienie sporów bez użycia siły zbrojnej. Gotują się więc do wojny. Parlamenty obu państw co rok miliony przeznaczają na marynarkę i wojsko. Zarówno Anglicy, jak Niemcy budują coraz potężniejsze statki.

W parlamencie angielskim niedawno jeden z znakomitych generałów Roberts nawoływał rząd do reformy wojska i wskazywał, że Anglii grozi najazd przez armię niemiecką, która na ulepszonych okrętach doskonale przeprawić się może.

Na razie toczy się gra dyplomatyczna. Król Edward dąży, by potędze Niemiec przeciwstawić zjednoczone siły innych państw. Opierają się Niemcy na trójprzymierzu, to jest na umowie co do wzajemnej pomocy z Włochami i Austro-Węgrami. Król Edward więc pracuje nad utworzeniem porozumienia w innym rodzaju. Już Francyę i Rosyę zyskał dla Anglii. Teraz dokłada starań, żeby Włochy od trójprzymierza oderwać. Położenie Niemiec może więc być bardzo zagrożone, jeśli zważymy, jak wielką niechęć dla nich żywią różne narody w skład austro-węgierskiej monarchii wchodzące...

Gubernia chełmska. „Riecz“ podaje treść projektu prawa o utworzeniu gubernii chełmskiej. Projekt, opracowany przez ministeryum spraw wewnętrznych, został już wniesiony do Rady ministrów.

Głównym celem nowego projektu ma być z jednej strony wzmocnienie wpływu rosyjskiego w guberniach polskich, z drugiej zaś — osłabienie wpływu polskiego w Chełmszczyźnie.

Według projektu, gubernia chełmska ma się składać ze wschodnich części gubernii lubelskiej i siedleckiej i ma być przyłączona do generał-gubernatorstwa kijowskiego. Pozostałe części gubernii siedleckiej i lubelskiej utworzą jedną gubernię, lubelską, złączoną pod względem administracyjnym z generał-gubernatorstwem warszawskiem.

Ludność gubernii chełmskiej, obliczono: prawosławnej 303,000, katolickiej 310,000, żydów — 114,000, innych wyznań — 28,000.

Miastem gubernialnem ma być Chełm, jako „centrum prawosławia i narodowości rosyjskiej w kraju". Tu będą przeniesione ze zniesionej gubernii siedleckiej wszystkie urzędy gubernialne.

Język rosyjski ma być obowiązujący nietylko w instytucyach rządowych, ale nawet w towarzystwach i instytucyach prywatnych.

Polakom, nie trudniącym się osobiście rolnictwem, ma być wzbronione nabywanie i dzierżawienie ziemi od osób innych narodowości. Mieszkańcy Królestwa Polskiego bez pozwolenia generał-gubernatora w każdym pojedynczym wypadku nie mogą być zaliczeni do stałej ludności gubernii chełmskiej.

Przechodzenie majątków ziemskich z rąk polskich do Rosyan ma być ułatwione przez zwolnienie Rosyan od opłaty należności stemplowych.

Nauczanie w szkołach języka polskiego ma być wzbronione, wykładowym językiem musi być rosyjski.

Projektowany jest również cały szereg środków, mających na celu rozwój rosyjskiej własności ziemskiej, ułatwiających rosyanom nabywanie własności rządowej i prywatnej w Chełmszczyźnie. Jakie będą losy tego projektu, dziś przewidzieć trudno. Pamiętajmy jednak, że moc Boża i sprawiedliwość jest wiekuista i wszystko widząca.

Mowa posła ks. Maciejewicza, wygłoszona w Dumie d. 8 czerwca r. b. Panowie posłowie! Kiedyśmy pierwszy raz przyszli do trzeciej Dumy państwowej i kiedy przeciwko nam wystąpił z oskarżeniem naszej religii, naszego Kościoła i Papieża p. poseł Zamysłowskij, kolega mój z Koła, Żukowski, dał mu stosowną odprawę. Cała Duma, o ile pamiętam, była wtedy po naszej stronie. Wtedyśmy oświadczyli, że nigdy nie pozwolimy sobie ubliżyć waszym uczuciom religijnym, nigdy nie będziemy napadali na obce kościoły. Myśmy sło-

wa dotrzymali i mieliśmy prawo liczyć na to, że wielu panów posłów, którzy nas wtedy słuchali, zechce w odpowiedzi na nasze oświadczenia zachować się poprawnie, jeżeli nie względem nas, posłów, te przynajmniej względem tego uczucia religijnego i tej religii, którą wyznajemy. Tymczasem w ciągu kilku ostatnich posiedzeń, kiedy się toczyły obrady nad dwoma projektami wyznaniowemi, byliśmy tutaj świadkami tych mów licznych, które wylewały z trybuny Dumy państwowej wszelkie błoto na głowy katolików, na ich religijne wierzenia i na ich Kościół katolicki.

Sądzę, że projekt prawa, który nas osobiście, jako katolików, dotykał, nie dawał prawa mówcom występować przeciwko naszej religii. Sądzę, że i obecnie rozważany projekt, który rozstrzyga spór wyznaniowy w jednej tylko jego dziedzinie, który mówi tylko o przejściu z wyznania na wyznanie, nie daje też prawa mówcom napadać jedynie na nasze wyznanie i znieważać go. Słyszeliśmy jednak tutaj takie uwagi, że religie niepanujące — jest to złe, z którem nie można się pogodzić, a które trzeba z konieczności do czasu cierpieć. Słyszeliśmy też tutaj, że obce religie porównywano, wprawdzie ostrożnie, z domami rozpusty, z karczmami.

Mnie się zdaje, że takie zachowanie się względem obcych uczuć religijnych i obcych wyznań nie może sprowadzić pokoju i zgody, a przeciwnie może pogłębić tylko tę przepaść separatyzmu, na którą my tu się wszyscy skarżymy. Czytając nieraz różne wasze wydawnictwa, broszury, gazety, słysząc obecnie mowy pełne fałszu i nienawiści ku nam i naszym wierzeniom, myślę wtedy, że od tego wszystkiego w takiej atmosferze trzebaby się chyba udusić, gdyby nie inne słowa, podniosłe i szlachetne, które mi tkwią w pamięci, a których o brak patryotyzmu żadną miarą posądzać nie można. Przypominam wam, panowie, te słowa, które brzmiały tak: „Dążyliśmy zawsze serdecznie do zapewnienia każdemu z naszych poddanych wolności wierzeń i modłów podług wymagań jego sumienia“ — i dalej: „Wzywając błogosławieństwa Wszechmocnego na to dzieło pokoju i miłości, rozkazujemy przyznać, że odpadnięcie od cerkwi prawosławnej nie podlega karze i nie powinno pociągać za sobą jakiejkolwiekbądź niewygody pod względem osobistych i obywatelskich praw każdego“.

(D. c. n)

Odpowiedzi od Redakcyi.

Czcigodnemu ks. P. F. w P. Stowarzszenie „Zorza“, zawiązane przed paru laty przez malarzy, rzeźbiarzy, pozłotników ma na celu podniesienie poziomu artystycznego wszelkich wyrobów, wchodzących w zakres sztuki kościelnej. Stowarzyszenie to już wywiązało się doskonale z podjętych większych robót, jak: malowanie kościołów, wzniesienie ołtarzy, na dowód czego ma piękne zaświadczenia Duchowieństwa naszego. Ubiory kościelne, jak naprzykład: kapy, ornaty, a także chorągwie „Zorza“ wykonywa przeważnie na obstalunek. Lokal Stowarzyszenia, „Zorza“ mieści się nie na dole, lecz **na piętrze**, obok naszej redakcyi. Wejście z bramy. Mylnie z umysłu wskazano sklep na dole w tym samym domu, z wejściem od ulicy. Sklep ten **na dole** wcale nie należy ani do „Zorzy“, ani do redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego“, ani do żadnego księdza. Łatwo domyślić się, co ma na celu owo fałszywe wskazywanie lokalu. Medaliki i obrazki do 1-ej Komunii Świętej wysłaliśmy.

Sz. Panu Ig. A. w W. Tegoroczne premium „Dzwonka Częstochowskiego“ już jest w robocie. Będzie to bardzo artystycznie wykonana kopia obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej w większym formacie.

Wszystkich przyjaciół „Dzwonka Częstochowskiego“ upraszamy o rozpowszechnianie tego czci Maryi Królowej Nieba i ziemi poświęconego pisma wśród rodzin chrześcijańskich.

Szanownych Prenumeratorów, zalegających w opłacie prenumeraty, upraszamy o możliwie rychłe jej nadsyłanie.

Upraszamy, ażeby przy odnawianiu prenumeraty lub w razie zmiany adresu, Szanowni Prenumeratorzy raczyli oprócz nowego podawać i stary adres, pod którym dotychczas odbierali „Dzwonek Częstochowski“.

W celu uniknięcia różnych nieporozumień, najlepiej nadsyłać prenumeratę wprost do Redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego“, Częstochowa, pod Jasną Górą.

Prenumeratorzy „Dzwonka Częstochowskiego“ mogą nabywać po cenach zniżonych niżej wymienione dzieła:

Obrazy historyczne w Sali Rycerskiej na Jasnej-Górze — broszurowane 50 kop., w ozdobnej oprawie 1 rb. (za przesyłkę dopłaca się 20 kop.).

Wizerunki Dostojników duchownych w Sali Rycerskiej na Jasnej-Górze—50 kop. (za przesyłkę osobno 17 kop.).

Książka do nabożeństwa, zawierająca piękne dawne modlitwy, które nasi dziadowie i pradziadowie odmawiali—w oprawie ozdobnej w płótno, ze złoconymi brzegami 75 kop., w oprawie ozdobnej w skórkę ze złoconymi brzegami 1.00 kop., w oprawie skórkowej miękkiej 1.25 kop., w oprawie wytwornej, fantazyjnej 1 rb. 75 kop. (za przesyłkę tej książki dopłaca się 30 k.).

Z życia Adama Mickiewicza—popularny życiorys wieszcza, przez Stefana Gębarskiego, z portretem i w oprawie 80 kop. (z przesyłką pocztową).

W Administracyi „Dzwonka Częstochowskiego“ są nadto do nabycia:

Karty pocztowe kolorowane z widokami Jasnej-Góry — sztuka 5 kop., serya z 12 kart 50 kop., z przesyłką 70 kop. Album z 12 kart w okładce tekturowej 55 kop., z przesyłką 70 kop.

Przewodnik illustrowany po Jasnej-Górze w Częstochowie. — Część I z planem Jasnej-Góry, str. 134. illustracyj 60, 30 kop., na lepszym papierze 40 kop. Część II. **Skarbiec Jasnogórski**, 50 illustracyj, 25 kop., na lepszym papierze 30 kop. (Za przesyłkę jednej części dopłaca się 15 kop.). Obydwie części z przesyłką 80 kop., na lepszym papierze 95 kop.

Święta Barbara — książka do nabożeństwa dla górników, w oprawie płóciennej 50 kop., w oprawie skórkowej 70 kop. (za przesyłkę 20 kop.).

Dobry katolik—katechizm Rzymsko-katolicki, wraz z historyą Świętą, radami dla parafian i elementarzem, na którym tak dziecko, jak i dorosły może w krótkim czasie i z łatwością nauczyć się czytać, z illustracyami 12 kop., z przesyłką 16 kop.

Dwór Niebieski, czyli modlitwa ś-tej Luitgardy—8 kop., z przesyłką 10 kop.

Ks. Augustyn Kordecki—życiorys wiekopomnego obrońcy Jasnej-Góry od Szwedów, z przesyłką 5 kop.

Pamiętniki Majora — I. F. Kierzkowskiego — 1 rb.

Obraz kolorowy, przedstawiający ołtarz z cudownym obrazem Matki Boskiej w kaplicy Jasnogórskiej 24×18 cali, cena 40 kop.

Portret ks. Augustyna Kordeckiego 30×22 cali, cena 30 kop.

Widok Jasnej-Góry w kolorach 28×20½ cali, cena 40 kop.

Za przesyłkę wraz z opakowaniem jednego lub trzech obrazów dopłaca się 40 k.

Przy zamawianiu kilku książeczek naraz dopłaca się za przesyłkę po 20 kop. do każdego rubla lub części rubla.

STOWARZYSZENIE „ZORZA“

malarzy, rzeźbiarzy, pozłotników i haftarzy,

pracujących w zakresie sztuki kościelnej

w CZĘSTOCHOWIE

poleca najtaniej, bo z pierwszej ręki, we własnym składzie pod Jasną Górą.



obrazy
feretrony
figury { **Pana Jezusa**, **Matki Boskiej**, **Ś-tych Pańskich**
sztandary
chorągwie
dzwonki harmonijne
witraże
ornaty
kapy
wszelkie wyroby kościelne



posiada jedyny w Częstochowie obfity wybór **artystycznych obrazów Matki Boskiej Częstochowskiej, ręcznie wykonanych przez artystów Akademii Krakowskiej**, w różnych wielkościach i na różne ceny,

podejmuje się wykonania wszelkich robót, dotyczących **odnawiania i upiększania kościołów** artystycznie, dokładnie i tanio,

przyjmuje zamówienia na **odlewy nowych dzwonów i przelewy starych, oraz posadzkę cementową i terrakotową** po najniższych cenach.

Wszelkie zlecenia Czcigodnego Duchowieństwa i ogółu katolickiego wypełnia się szybko, dokładnie i tanio.

Adres dla listów: ***Stowarzyszenie „ZORZA“ w Częstochowie,*** skrzynka pocztowa № 84.

Redaktor i Właściciel ks. **JÓZEF ADAMCZYK.**

Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów.